

Chotnicka

F-504
IV

PISSMO P.S.K.

Rok IV

Styczeń 1946 r.

Nr 1 (28)



Padres Franciscanos
c. Juan Pablo II 2360
1682 MARTIN CORONADO
Pcia. Buenos Aires
ARGENTINA
Tel/Fax: (0054) 11 4942-0589
E-mail: jurek@uolsipectis.com.ar



(fot. Młchalski)

Wigilia w Komp. Sztabowej 2. Korpusu — Gen. Anders łamie się opatkiem.

„CAŁA POLSKA WALCZĄCA CZERPIE NATCHNIENIE I SIŁĘ Z WASZEJ POSTAWY”

Zołnierze!

Święta Bożego Narodzenia 1944 roku obchodziliśmy w ogniu bitew, w zbrojnym marszu do Polski.

Biliśmy wroga, który nam drogę zagrażał.

Traciliśmy wielu najlepszych i najdzielniejszych, lecz parliśmy naprzód z entuzjazmem w sercu, bo na ostrzach naszej broni nieśliśmy Ojczyźnie Niepodległość, rodakom — wolność myśli, słowa, pracy, zrzeszeń i sprawiedliwość społeczną; nieśliśmy pokój wszystkim ludziom dobrej woli.

Bez własnej winy nie dopięliśmy jeszcze celu.

I oto Święto Narodzin Zbawiciela w 1945 roku, Święto Rodziny, Święto tak pięknie u nas obchodzone, spędzamy znowu na obczyźnie.

Zadanie nasze nie skończone — Naród Polski wolności nie odzyskał i nadal o nią walczy.

Nasza obecność jako zwartych szeregów polskich Sił Zbrojnych wiernych przysiędze żołnierskiej, wiernych Rzeczypospolitej poza granicami daje nam możliwość obrony otwartej, możliwość głośnego upominania się o Niepodległość Ojczyzny, możliwość jawnego wskazywania na gwałty na Niej popełnione.

Hamuje ona i nie pozwala na otwartą i brutalną eksterminację, jaka jest potrzebna wrogom Polski, aby podporządkować sobie Naród Polski pozbawiony wolności — dla swoich celów.

Walka trwa, ale nie jest to walka orężna. A ciężki to los dla żołnierza trwać i nie działać właściwym mu sposobem, patrzeć z dala na poniewierkę Narodu, stać samemu pod ogniem oszczerczych i kłamliwych słów, a nie móc odpowiedzieć prostym, żołnierskim czynem.

Czas taki wymaga hartu i woli, większych niż te, których potrzeba w najcięższym nawet ogniu wojny.

Lecz jasna świadomość celu daje nam tę siłę. Wiara w słuszność i skuteczność naszej walki — powiększa ją.

Wraz z świętami Bożego Narodzenia zbliża się Rok Nowy, Rok 1946.

Może on nam przynieść ciężkie jeszcze próby, ale za nimi kryje się zwykle — zwycięstwo.

Żołnierze!

Wytrwałości waszej sprawa polska już dziś zawdzięcza to, że powoli otwierają się oczy Za-

chodu na gwałt jaki dokonuje się nad Ojczyznę naszą.

W chwilach trudnych, które mogą nas jeszcze nachodzić, pamiętajcie, że my zbrojni i wolni żołnierze jesteśmy najsilniejszym oparciem dla milionów, protestujących wraz z nami, Polaków. I dla tych, którzy walczą w milczeniu w Kraju.

Cała Polska Walcząca czerpie natchnienie i siłę z Waszej postawy.

Życzę Wam, byście Święto Narodzenia Chrystusa spędzili w pogodzie ducha, a w nadchodzącym roku utrzymali nadal twardą nieustępliwość, hart i wolę wytrwania, gdyż tylko one zdolne są doprowadzić nas do Wolnej i Niepodległej Ojczyzny.

M. p. 19. XII. 1945.

Gen. Dyw. Władysław Anders
Dowódca 2. Korpusu

DZIEJE

*Zył w ojczyźnie i dla niej,
w obcej ziemi serce skonało.
Zył szczęśliwy — prosto, zwyczajnie,
zginął jak dziad i ojciec na polu chwaty.*

*Nachył się nad nim adriatyckie niebo,
przyprószył oczy gwiazdami.
Kłęknił nad nim italska ziemia,
pomógł się pogodą i oliwnymi gajami.*

*A ty wletrze z południa, śródziemnomorski,
zanieś duszę na bocianich skrzydłach,
niech postucha o czym szumią sosny,
co ojcowie gwarzą na przyzbach.*

*Niech się wtuli pod domową strzechę:
niech jak anioł waruje u proga,
kiedy ptugi o skiby uderzą
i pod zasiew rozpulchni się rola.*

Kazimierz Sowiński

MÓJ ŚWIAT

*Mówić o tym — to już prawie cynizm.
Dziś — wstecz ludzi potępia się za to...
...Ptóżna pełno w malowanej skrzyni,
kwiatę złotą miałam i kopiać...*

*Mówić o tym — to nietakt i kwita!
Bo cóż kogo obchodzi to w końcu?
...Młód był stódk, miałam go do syta
i na wletrze jadłam go i stońcu...*

*Chleb zgubiony z dziurawej kieszeni
łatwiej podnieść i odmuchać lepiej...
...Mój świat — miodem upadł mi do ziemi
i już nigdy nie da się odlepić...*

Beata Obertyńska

NIEŁATWA DROGA

„Zadanie nasze nieskończone, Naród Polski wolności nie odzyskał i nadal o nią walczy.

(Rozkaz Dowódcy 2. Korpusu Gen. Władysława Andersa z dnia 19. grudnia 1945).

Światło na mgnienie zgasło i znów zajaśniało. Witamy Nowy Rok.

W tym ciemnym mgnieniu przesunęliśmy ziarnka różańca: Tobruk — Montecassino — Ancona — Bolonia — obozy i więzienia Niemiec i dalekich przestrzeni rosyjskich — rok 1939 i Powstanie Warszawskie — imiona najdroższe, które zostały echem przeszłości za nami, trawertynowe krzyże spod stóp Montecassino i brzozy krzyże na grobach szturmowców Wojskowego Cmentarza w Warszawie.

Z rozbitym światłem wstąpiły sprawy niewywalczone jeszcze dla przyszłości, otwierające dla nas wśród tych niewyjaśnionych spraw świata — nowy rok, zadania do wykonania, obowiązki do spełnienia, problemy do prze-myślenia.

Życie, tak skomplikowane węzłami nierozwikłanych zagadnień, jest jednak tak proste w swej duchowej konstrukcji. Obowiązkiem i szczęściem człowieka jest możliwość wyzwolenia ze swej duszy wszystkich wartości, jakie tkwią w niej ukryte. Człowiek walczy więc o wolność, o możliwość jak najdoskonalszego wypowiedzenia swej duszy.

Naród, jak człowiek pojedynczy, walczy o swą zbiorową duszę i oddech wolności dla niej. I organizować musi swoje, życie zbiorowe, gromadząc troskliwie, gromadząc żarliwie wszystkie swoje duchowe wartości, zdobywając dla nich miejsce wśród wszelkich układów świata, poprzez wszystkie barykady zła, ponad fortece kłamstwa, szukając wartości niezniszczalnych i wiecznych, tak silnych, „iż potęgi zła i przemocy, walcząc z nimi od wieków, nie zdołały ich nigdy zniszczyć i unicestwić”. (Z przemówienia świątecznego Prezydenta Rzeczypospolitej Władysława Raczkiewicza).

Niełatwa droga. Każdy wysiłek wplątuje się przecież w różnorodne interesy powojennego życia i dłuży się w nieskończoność dni czekania.

Ale całe życie człowieka jest czekaniem i całe życie rozwikływaniem trudności własnymi rękoma. Nie pomoże człowiekowi nikt i każdy musi sam budować swój los, najszczerzym sercem podjąć zań odpowiedzialność i liczyć tylko na samego siebie.

Nigdzie nasze, polskie życie nie jest wolne ani

łatwe: ani tu bez własnej ziemi, ani w Kraju bez wolności. Nie przesiemy własnej ziemi w dalekie światy, ani milionów ludzi, którzy na niej budują swój dzień powszedni i nie możemy w tej chwili w Polsce prostować drogi własnej myśli, własnej kultury, którą spacyć pragną siły obce duchowi kultury polskiej. Nie jest to zagadnienie proste, bo kultura narodu czerpie swe siły z każdego dnia, przeżytego na ziemi własnej, a szary dzień powszedni winien oddychać czystym tchnieniem najwyższych dorobków duchowych narodu.

Jak zorganizować tę wymianę zdobywanych wartości — tam dniem codziennym, tu swobodniejszą myślą — przez te kreślone granice, zakazy, przeszkody i podstępny?

Życie w Kraju, tak samo jak tutaj, jest czekaniem i prawda jego nie rozwija się swobodnie. I tu i tam trzeba wyrobić w sobie cierpliwość czekania, aż rozsuna się ciemności powojennego dziś. I tu i tam nie wolno czekać bezczynnie. Tam tworzy się dzień powszedni na własnej ziemi, która musi być zaorana, zasiana i zorganizowana w jakies możliwe do przetrwania życie zbiorowe. Tutaj toczy się walka o swobodę myśli, o niespaczoną przyszłość narodu, o niezależną myśl polityczną, o ideowo swobodną siłę zbrojną. Tutaj i tam pracują Polacy dla swego jutra, tutaj i tam żąda bieg życia nadludzkich wysiłków, najwyższego bohaterstwa i najpracowitszego dnia codziennego.

Nie jest łatwiej ani tu ani tam, bo tu i tam każda łatwizna pisze swoje minusy na kartach przyszłości.

Dziwne są drogi współczesnej wojny: Może jest ona skończona, a może nie skończona? Może długi tańcuch zdarzeń zadecyduje o jej wyniku, a może nagle akcja? Może rostrzygnie wyłitek myśli politycznej, a może zwycięska kampania? Ale zawsze konieczny jest najwyższy wysiłek duchowy. Nie ma prac małych i nieważnych obowiązków i nie ma ludzi ani dni bez znaczenia. Czekanie może więc być zmarnowanym czasem i może być akcją, decydującą o jakości przyszłych dni. Życie trzeba nie jedynie przeszłością ani przyszłością, żyć trzeba w dniu dzisiejszym i, protestując — tu i w Kraju — przeciw istniejącej rzeczywistości, przetrwać ją ile sił starczy.

„Obecność (teraźniejszość) jest ruchomym połączeniem przeszłości i przyszłości na niewstrzymanych falach czasu. Wieczność otrzymuje się wtedy, gdy się ją zamyka w sumienności przedsięwzięcia każdego dnia naszego”. (C. Norwid „List do M. Trębickiej”).

Każdy dzień jest długi i każdy dzień zdobywa — wśród walk o ducha, wśród walk o własne miejsce na świecie — lepsze jutro.

Tym zrozumieniem witamy zastąpię tumanem nierozwikłanych spraw — rok tysiąc dziewięćset czterdziesty szósty.

Zofia W.



(Fot. A. Romański)

Przy choince

PROTEGOWANY ANTYSEMITYZM

W związku z szeroko zakrojoną kampanią wrogiej nam prasy, socjalistycznej i żydowskiej, która już od szeregu miesięcy z rosnącą gwałtownością oskarża społeczeństwo polskie w Kraju o rzekome prześladowanie Żydów, o powtarzające się jakoby coraz częściej gwałty i pogromy w Polsce — o przez Niemców rzekomo rozjuszoną w Polakach szowinistyczną, nicnawieć rasową do Żydów — wyjmujemy fragment (rozdział VI) z ostatniej pracy R. Wragi p.t. „Rola i zadania emigracji polskiej” (Wyd. „Orla Białego”, Rzym 1945).

Tezę Wragi, że Moskwa nieci i rozmyślnie potęguje antysemityzm w Polsce, ażeby przez to zmusić szowinizm a jednocześnie zohydzić naród Polską w oczach Zachodu i rozwiać tę glorię bohaterstwa i idealizmu, którą zdobył on sobie swą walką z Niemcami — otóż tę tezę Wragi wypada uzupełnić w paru słowach nowymi faktami, które wyszły ostatnio na jaw w związku z masową ucieczką Żydów spod okupacji sowieckiej na Zachód.

Żywa dyskusja, jaka wywiązała się w prasie anglosaskiej po sensacyjnym oświadczeniu dyrektorów

UNRRA na Europę, gen. Fredric Morgana, rozszerzyła wydatnie stan faktyczny tej sprawy. Reasumując krótko wyniki tej dyskusji — przyjść z niej można do następujących wniosków:

1. Wprawdzie Moskwa drogą prowokacji i propagandy dąży niewątpliwie do zarażenia społeczeństwa polskiego przeszczepionym ze wschodu antysemityzmem — to jednak okazuje się, że rozgłaszane przez nią na zewnątrz wiadomości o rzekomych gwałtach i pogromach w Polsce są przeważnie zmyślane, a zajścia sprowokowane przez NKWD są świadomie wyolbrzymiane. Celem polityki sowieckiej jest nie tylko zohydzenie Polski w opinii Zachodu, lecz nadto jeszcze ułatwienie Żydom emigracji, by zwiększyć ich napór na Palestynę, a zaogniając w ten sposób spór żydowsko-arabski — poderwać pozycję Anglii na Środkowym Wschodzie.

2. Żydzi uciekają z Polski oczywiście nie przed polskim, lecz przed sowieckim terrorem, a także przed widmem nędzy i głodu. Likwidacja prywatnego handlu oraz prywatnej przedsiębiorczości odbiera im możliwość dotychczasowych środków za-

robkowania. Oskarżając społeczeństwo polskie o antysemityzm — Żydzi chcą w ten sposób ułatwić sobie emigrację: nie mogą przecież oskarżać Sowietów, bo to groziłoby represjami pozostałej reszce, a przede wszystkim spowodowałoby przerwanie emigracji. Więc aby wywołać współczucie Zachodu, Żydzi ciskają zmyślane oskarżenia przeciw społeczeństwu, które ma knebel na ustach i oszczerstwem tym nie może zadać kłamu. Są też oznaki tego, iż w metodzie tej inspirowane Żydom Moskwa.

3. Prasa dość zgodnie na ogół konstatuje, że acz cała ta kampania propagandy bolszewickiej i żydowskiej sprowadza się do tych dwóch celów, postępuje się zmyślanymi, bądź wyolbrzymionymi oskarżeniami — to jednak w społeczeństwie polskim utrzymuje się niechęć do Żydów, która — jak słusznie podkreślają niektóre pisma (np. „Glasgow Herald” i „News Chronicle” ma swą przyczynę w tym, iż „niepopularność rządu warszawskiego” w szerokiej rzeszach narodu zwraca się także przeciw Żydom-komunistom, którzy „są w rządzie tym czynnikiem dominującym”.

wprowadzając natomiast idee reakcyjne. Tak rząd sowiecki postępował już na terenie Ukrainy, Gruzji, Azerbejdżanu, Uzbekistanu i innych narodów ujarzmionych przez Rosję.

Wybujając szowinizm nacjonalistyczne hodowane przez sowieckich reakcjonistów odsuwały te narody od Europy, od kultury zachodniej, od humanizmu od uniwersalnych idei społecznych, od prawdziwego postępu. A gdy w pewnym okresie swego rozwoju kierowały się one przeciwko interesom centralistycznej Moskwy, to wówczas na teren Ukrainy, Gruzji czy Uzbekistanu wkroczyły kohorty GPU i ogniem i mieczem niszczyły miliony Ukraińców, setki tysięcy Gruzinów czy Uzbeków.

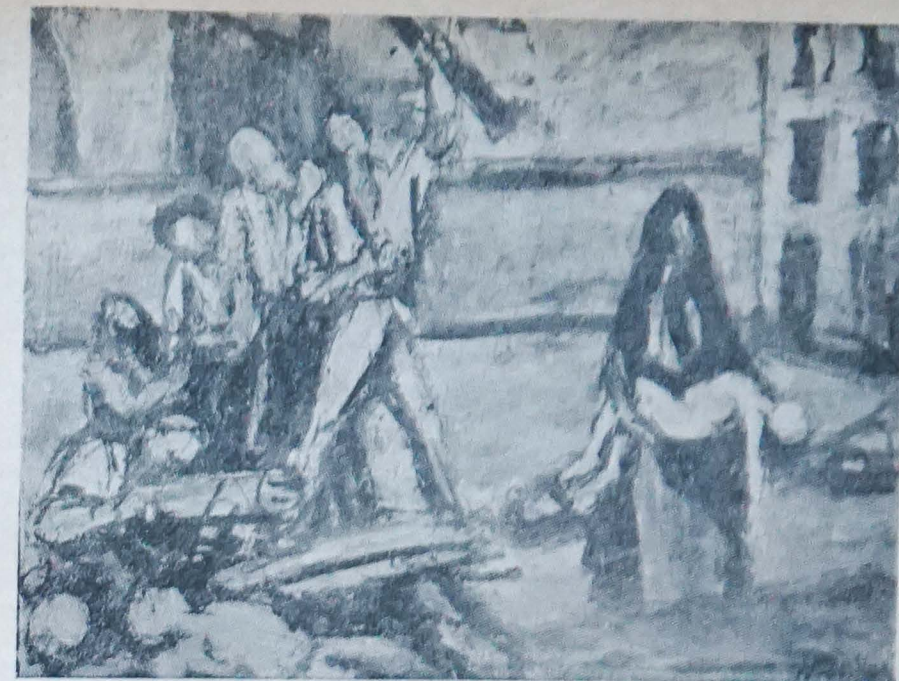
Obecną politykę sowiecką w stosunku do Polski i Polaków można byłoby między innymi scharakteryzować również jako politykę propagowania reakcyjnego, najgorszego gatunku szowinizmu nacjonalistycznego. Wszystkie prace w tym kierunku: i aparat sowiecki i jego agentury, i nastroje nieszczęśliwego społeczeństwa, spragnionego po sześciolletnim ukrywaniu w podziemiach swoich świętości narodowych, żywiołowego manifestowania uczuć patriotycznych. Mówi się więc temu społeczeństwu w pseudo-polskich, w istocie zaś sowieckich gadzinówkach, o wielkomocarstwie Polski, o postępnictwie narodu polskiego na ziemiach słowiańskich, o jego możliwościach bojowych „przeciwko Europie”, wzbudza się wśród młodzieży nastroje militarystyczne, propa-

guje się koncepcje olbrzymiej, jak na możliwości polskiej, armii, nie omieszkując posilkiwać się w tym celu ordynarnie zniekształconymi i sprofanowanymi przykładami historycznymi, postaciami bohaterów przez naród umiłowanymi i czczonymi rekwizytami patriotyzmu. Nade wszystko zaś rozwija się w tym narodzie dwa uczucia: antysemityzm i niechęć a pogardę dla Zachodu.

Antysemityzm nigdy nie był właściwy ani polskiej kulturze, ani polskiej myśli politycznej, czy tym bardziej społecznej. Jest on wyraźnie wprowadzony do emocjonalnych nastrojów tłumów przez zaborców, a przede wszystkim przez Moskali. Antysemityzm towarzyszy nieodłącznie od czasów Piotra Wielkiego i Elżbiety Piotrownej rozwojowi państwowości rosyjskiej i rosyjskiemu imperializmowi. Koniec XIX wieku to nieprzerwany cykl pogromów żydowskich inspirowanych i organizowanych przez państwowość rosyjską. Do Polski ten zwierzęcy antysemityzm nie przeniknął, mimo, że to właśnie na ziemiach polskich państwowość rosyjska celowo stworzyła pewne gospodarcze podstawy do antagonizmów polsko-żydowskich.

Antagonizmy te w latach 1918-1939, gdy obywatele polscy z trudem odbudowywali zniszczone i zacofane przez zaborców ziemie polskie, przybierały niejednokrotnie poważne i niebezpieczne natężenia, lecz nigdy nie wchodziły w sferę tego strasznego zdziczenia, jakie demonstrowały antysemityzm moskiewski, bądź hitlerowski. I oto właśnie teraz, gdy zdawałoby się na ziemiach polskich nawet te ekonomiczne podstawy antagonizmu polsko-żydowskiego przestały odgrywać rolę antysemityzm — jakoby zaczyna przybierać na sile. I to antysemityzm właśnie tego obcego Polakom, zwierzęcego charakteru moskiewsko-pruskiego. Jak to świadczą żydowscy socjaliści i bezstronni amerykańscy obserwatorzy, antysemityzm ten — idzie od Wschodu, od Rosji.

Okupanci sowieccy wyraźnie ten antysemityzm protegują i podniecają, chociażby po to, by móc o antysemityzmie polskim mówić na zewnątrz i dyskredytować naród polski w opinii Zachodu. Rząd sowiecki stosuje pod tym względem w stosunku do Polaków identyczną metodę, jaką 25 lat temu zastosował w stosunku do Ukraińców, których propaganda sowiecka reklamowała jako żydożerców, organizatorów ciągłych pogromów i największych katów narodu żydowskiego, mimo, że pogromy żydowskie na Ukrainie były w równym stopniu dziełem rozwydrzonych hajdamaków ukraińskich, jak czarnosecznych kozaków Denikina, jak też i sławnych kawalerzystów „batki” Budiennego. Lecz całe odium za te pogromy i okrucieństwa na ludność żydowskiej agitacja sowiecka przerzuciła wówczas na naród ukraiński i, opierając się na materiałach i sfalszowanych dokumentach tej agitacji, namiętna w



Zygmunt Menkes: „Ghe'to warszawskie walczą”

takich wypadkach międzynarodowa prasa żydowska już od ćwierci wieku przedstawia Ukraińców jako największych wrogów Żydów. Nie trzeba chyba wyjaśniać, jak wielką pomoc okazała ta akcja w ujarzmianiu przez Moskwę narodu ukraińskiego, który pozostawiono sam na sam z imperialistycznym Kremlem.

Dzisiaj podobną akcję wszczęto w stosunku do Polaków. Ale nie mówiąc już nawet o tym, jaki rezultat da ten antysemityzm na terenie międzynarodowej opinii, jak oddali nas od Zachodu i jego kultury, trzeba myśleć o tym, jak straszne spustoszenie uczyni on w samym narodzie, na jakie bezdroża reakcji i ciemności średniowiecznej skieruje polską myśl społeczną i duchową, i jak obniży morale i ideowość naszej młodzieży! Antysemityzm w Polsce jest jedną z najstraszniejszych duchowych agentur obcych, która służyć może tylko

i wyłącznie interesom wroga i w żadnym wypadku i w niczym nie może przysłużyć się polskim interesom narodowym.

Skoro więc nasz kraj skazany będzie na rozpanoszenie się średniowiecznego szowinizmu, skoro sprawne pod każdym innym względem, jeżeli chodzi o tempie polskich czynników postępowych, polskiego ruchu robotniczego, polskiej organizacji społecznych, wszędobylskie i wszechpotężne NKWD jedynie w tym wypadku okazuje wyraźną opiekałość i nie tylko toleruje, lecz wręcz popiera bandy pogromowe, to jasne jest, że tej sytuacji i jej konsekwencjom polska myśl emigracyjna musi się ostro, stanowczo i wyraźnie przeciwstawić.

Ryszard Wraga

MODLITWA W LESIE

*Który jesteś w górnym sołen szumie,
gdy je wichler zadyszany pieśń
i zna z myśli i serca rozumiesz
uwięzione w korze, w piórach, w sierści;*

*który chadzasz pośród burz tententu
i z uśmiechem smutne żdźbło kotłyszysz:
ślugo kor y i Panie Zastępów:
Wśród drzew, ptaków, mnie — gdy milczę — słyszysz.*

*Ciebie błagam tylko niemym krzykiem,
który twoga żył gałęzi niemie:
wszelkim stworom zbitkanym i dzikim
daj schronienie w świata wielkim lesie!*

*Kropkę ciszy i żywicznej woni
naszym nosom sterocym i dniom daj, —
a po śmierci nas ogrzej w swych dłońach,
jak zmarł go przed wiosną skowronka.*

Helena Zelwerowicz-Orchonłowa

Oberlangen, Stalag VIC, 13. 3. 1945

Przewrót polityczny i ustrojowy tylko wtedy zasługuje na miano rewolucji, gdy pociąga za sobą zasadnicze a postępowe, nie reakcyjne zmiany społeczne. Z tego tytułu rewolucja rosyjska 1917 r., mimo że kosztowała naród rosyjski i narody przez Rosję ujarzmione morze krwi i lata nędzy, w ocenie przyszłych historyków na miano rewolucji zasługiwać nie będzie.

Dała ona bowiem w rezultacie narodom zamieszkującym Związek sowiecki nie wolność, lecz jeszcze większą niewolę, nie oswobodzenie społeczne, lecz jeszcze większą katorgę, nie przyniosła ludowi władzy, lecz jeszcze bardziej zaostrzyła rosyjski totalitarny system absolutyzmu i autarkii. Rewolucja rosyjska nie przyniosła ani demokracji, ani postępu, lecz pociągnęła za sobą stale potęgującą się wszechstronną reakcję.

Od pewnego czasu ustrojowi sowiecki, w osobie dyktatorskiej i wszystkim rządzącej, dyktatorskiej partii bolszewickiej, posilkuje się jeszcze jednym narzędziem reakcyjnym: nacjonalizmem. Nacjonalizm ten, odpowiednio przez rząd sowiecki wśród mas propagowany, przybrał za czasów wojny wszelkie cechy tego namiętnego rasizmu, który, jak wiemy, stanowił podstawową bazę ideową hitleryzmu. Wprawdzie rasizm sowiecki oparty w pewnym stopniu na panslawizmie i na wzbudzaniu wygórowanych ambicji i poczucia wyższości u tak zwanego „narodu sowieckiego”, nosi inny charakter teoretyczny, niż „nazizm”, lecz w skutkach i w swym oddziaływaniu

psychicznym na masy jest z nim jednaki.

Po zwycięstwie nad Niemcami, Stalin wyraźnie w jednym ze swych przemówień stwierdził, że naród rosyjski posiada pierwszeństwo wśród innych narodów sowieckich. Ten, przez wojenny wysiłek sowiecki, będąc jedną ze składowych części reakcyjnej rewolucji rosyjskiej, daje już teraz w odniesieniu do narodu sowieckiego groźne skutki upadku kultury duchowej — powoduje obniżenie poziomu kultury materialnej, skierowanie życia zbiorowego i indywidualnego tylko w jednym utylitarnym kierunku, powoduje zupełny zanik myśli społecznej.

Rosja sowiecka, podobnie jak Rosja carska, w swej polityce podbójów zmierzała i zmierza zawsze do tego, żeby narzucić terenom okupowanym nie tylko swoją koncepcję ustrojową, lecz również i swoją koncepcję duchową. Widzimy więc i teraz, że wraz z sowieckimi przychodzą na teren okupowany w Europie sowieckie wyobrażenia o demokracji, o socjalizmie, o religii, o wychowaniu, o stosunkach międzynarodowych, o postępie i kulturze. Wraz z nimi przychodzi również i idea nacjonalizmu.

Rząd sowiecki doskonale zdaje sobie sprawę, że rodmuchanie ambicji szowinistycznych u nieskończenie słabszych od Związku sowieckiego narodów, zagrozić państwowości sowieckiej nie jest w stanie, a obniżyć wartość duchową społeczną i materialną tych narodów, osłabi je, zahamuje wszystkie idee postępowe,

„ŻYCIE CZY ŚMIERĆ“

(Miesięczny przegląd wydarzeń)

Kolejna kapitulacja w Moskwie

Rysunek w amerykańskim piśmie „New York Daily News” przedstawia wuja Sama w rozmowie z sekretarzem stanu Byrnesem. P. Byrnes zdaje sprawozdanie z wyników konferencji moskiewskiej:

Byrnes: „Przez to, że zgodziliśmy się podzielić z Rosją naszą wiedzę w zakresie energii atomowej, Rosja zgodziła się podzielić z nami naszą władzę nad Japonią i przyjąć od nas 6 miliardów dolarów pożyczki”.

Wuj Sam: „Ależ z Pana doskonały kupiec!”

Karykatura wyostża rzeczywistość. To jest jej dobre prawo. Nie mniej rzeczywistość nowej anglosaskiej kapitulacji w Moskwie nie wiele odbiega od oceny danej jej w amerykańskiej karykaturze.

„News Chronicle” usprawiedliwiał dalszy appeasement brytyjskiej polityki w stosunku do Moskwy argumentem, że „opinia publiczna w Anglii nie wybaczyłaby z łatwością rządowi brytyjskiemu uchylenia się od uczynienia każdego wysiłku nawet kosztem swej dumy, by uzyskać pełną współpracę w zespole Narodów Zjednoczonych”.

Kapitulacja jest może najmniej widoczna w „atomistyce”. Ograniczono się do zalecenia powołania przez Organizację Narodów Zjednoczonych komisji atomowej, której zadaniem będzie wypracowanie propozycji odnośnie:

„1) wymiany pomiędzy wszystkimi narodami podstawowych informacji dla celów pokojowych; 2) kontroli energii atomowej w takiej mierze, by zapewnić jej stosowanie tylko dla celów pokojowych; 3) eliminacji ze zbrojeń broni, opartej na zastosowaniu energii atomowej i wszel-

kich innych rodzajów broni, powodujących masowe zniszczenia; 4) efektywnych gwarancji przez inspekcję i inne środki dla zabezpieczenia narodów przed ryzykiem gwałtów i wybiegów”.

Ostatecznie tajemniczy bomby atomowej jeszcze Rosji nie wydano, a kierownicy polityki amerykańskiej pod naciskiem opinii własnej zostali zmuszeni do złożenia szeregu oświadczeń stwierdzających, że nie ma mowy o wydaniu tajemnicy bomby atomowej bez uzyskania wystarczających gwarancji bezpieczeństwa. Według zapewnienia, uzyskanego przez senatora Vandenberg, „wszystkie cztery punkty postanowień w sprawach energii atomowej należy czytać razem a nie oddzielnie; zastosowanie każdego z nich musi być połączone z zapewnieniem pełnego bezpieczeństwa, a wszystko musi być ostatecznie oddawane do aprobaty amerykańskiego senatu”.

Nie sposób nie zauważyć, że Rosji na okres, w którym sama nie posiada bomby atomowej—to wystarcza. Polityka sowiecka wytrąciła umiejętnie bombę atomową jako narzędzie politycznego nacisku lecz oczywiście jej język zmieni się zupełnie, gdy sama będzie dysponować bombą atomową. Narazie, wykorzystując zasłonę tajemnicy, która oddziela ZSRR od reszty świata, za pośrednictwem „źródeł” irlandzkich czy szwedzkich, straszy się opinię zachodnią „bombą atomową wielkości piłki tenisowej, wobec której amerykańska bomba atomowa to rzecz zupełnie przestarzała”. Oczywiście znalazł się zaraz jakiś uczony profesor, tym razem dr. Teodor Sveberg, laureat Nobla w dziedzinie chemii w r. 1926, który potwierdza: „Jest

rzecz wielce prawdopodobna, że Rosjanie doszli tak daleko, jak brzmia pogłoski”. Wprawdzie legion uczonych wyśmiewa te pogłoski jako „fantastyczne”, ale efekt został już osiągnięty. Setki tysięcy, może nawet miliony, drżących o własne życie i dobrobyt „burżujów” w Ameryce czy w Wielkiej Brytanii dostało nowy zastrzyk strachu.

W sprawach Dalekiego Wschodu, a w szczególności w zarzucie nad Japonią ustanowiono łańcuszek instytucji, przez które Rosja Sowiecka będzie od d miała uznane prawo wtrącania się do wszystkich spraw Dalekiego Wschodu i do zarządzeń gen. Mac Arthura w samej Japonii. Na ostatnim bankiecie moskiewskim zmniejszono rację wódki dla dyplomatów anglosaskich, dając im 15 zamiast 4 kolejek, by bardziej na trzeźwo mogli obejrzeć film, który im tego wieczoru pokazano: pt. „Kłeska Japonii”. Amerykański tygodnik „Newsweek” pisze: „Delegacja amerykańska stwierdziła przypuszczalnie bez większego zdziwienia, że film stwarza wrażenie, jakoby Rosjanie nieomal sami wygrali wojnę na Dalekim Wschodzie”. I trzeba było Rosjanom ust pić bo... „Rosjanie przedstawili siebie w swej wewnętrznej propagandzie, jak i na całym Dalekim Wschodzie jako decydujący czynnik w pokonaniu Japonii. Ale nie mieli dotychczas udziału w kontroli nad Japonią. Sprawiało to dużo kłopotów wrażliwym władcom Kremla”.

„Byrnes przeto (ciągle cytujemy amerykański tygodnik z 7. stycznia b.r.) starał się wypracować kompromis... Jego celem było dać Rosjanom pozory kontroli, nie oddać im kontroli rzeczywistości. To, co im dał ostatecznie, to prawo złagodzonego weta”.

Tenże tygodnik w następujący sposób tłumaczy amerykańskim czytelnikom obecny schemat polityczny na Dalekim Wschodzie, przyjęty w uchwałach moskiewskich: Instytucja naczelna jest „Kolegium Dalekowschodnie”. W jej skład wchodzi: Rosja, Wielka Brytania, Stany Zjednoczone, Chiny, Francja, Holandia, Kanada, Australia, Indie, Nowa Zelandia, Filipiny. Komisja posiada zawile prawo weta w stosunku do Naczelnego Dowódcy i kształtuje politykę i dyrektywy odnośnie Japonii. Z kolei rz d Stanów Zjednoczonych przekazuje wskazania Komisji Naczelnemu Dowódcy i wydaje decyzje tymczasowe. Z kolei Rada Aliancka dla spraw Japonii z siedzibą w Tokio z przedstawicielami Rosji, Stanów Zjednoczonych, Chin i Wielkiej Brytanii obraduje pod przewodnictwem Naczelnego Dowódcy, który zasięga jej rady przy wydawaniu ważnych rozkazów. Każdy z członków ma prawo spowodować odroczenie ważnych decyzji Naczelnego Dowódcy poddania ich pod obrady Komisji Dalekowschodniej. Wreszcie Naczelny Dowódca wykonuje dyrektywy Komisji Dalekowschodniej, ma głos kontrolujący decyzje Komisji Alianckiej i sam załatwia sprawy pilne i bieżące. Naczelnym Dowódcą musi być Amerykanin, posiada

on całkowitą władzę w zakresie operacji wojskowych.

Uchwały wielkiej trójki spotkały się ze zdecydowaną reakcją generała Mac Arthura. Zaprzeczył on, jakoby zasięgnięto jego rady w sprawie zawartego w Moskwie układu, który według jego opinii „jest nie do przyjęcia”. Jest to po ambasadorze Hurley już drugi wypadek wyrażenia sprzeciwu w stosunku do polityki Departamentu Stanu przez ludzi odpowiedzialnych za jej wyniki na Dalekim Wschodzie.

W stosunku do Chin zarówno Rosja jak i Stany Zjednoczone jeszcze raz zobowiązały się popierać „zjednoczone i demokratyczne Chiny” kierowane przez Rz d Narodowy Czang Kai Sze. Nowy ambasador amerykański w Chinach może uważać za sukces swej polityki zaprzestanie walk pomiędzy armiami komunistycznymi i rz dowymi. Rosja obowiązuje się wycofać wojska z Mandżurii do 1 lutego br., równocześnie Stany Zjednoczone obojętnie zają się wycofać swe wojska, gdy tylko zostaną rozbrojone wszystkie oddziały japońskie, a rz d Czang Kai Sze będzie mógł wziąć odpowiedzialność za swoje przyjęte terytoria.

Nie ulega wątpliwości, że Stany Zjednoczone są zdecydowane utrzymać swe wpływy w Chinach, i że Rosja rozkładając na razie siłę Wielkiej Brytanii i starając się dla rozgrywk z Wielką Brytanią pozyskać Stany Zjednoczone, unika konfliktu otwartego na takim terenie jak Chiny. Polityce sowieckiej przychodzi to tym łatwiej, że równocześnie zdobywa ona, względnie utrzymuje na Dalekim Wschodzie cały szereg pozycji bez konfliktu na drodze dyplomatycznych przetargów.

Poco jest potrzebna „opozycja“?

Komentarze prasy światowej podkreślają, że w układach moskiewskich nie załatwiono najtrudniejszych spraw: niemieckiej, tureckiej i perskiej. Dla wielu obserwatorów ma to być miarą niepowodzenia konferencji moskiewskiej. Istnieje jednak i drugi sposób wytłumaczenia tego zjawiska. Polityka moskiewska potrzebuje i posługuje się innymi mocarstwami tylko na dwu etapach realizacji swych imperialnych celów. Po pierwsze, gdy pragnie wejść na teren i potrzebuje wprowadzenia — tak jest dziś w Japonii, gdzie ostatnie uchwały i „kompromis” moskiewski wprowadziły Rosję tam, gdzie dot d była nieobecna. Po drugie, mocarstwa anglosaskie są potrzebne Rosji dla legalizacji zdobyczy, osiągniętych przez nią metodą faktów dokonanych. Tak było w Polsce, tak dzisiaj jest w całej Europie środkowo-wschodniej. Natomiast na etapie pośrednim, przy dokonywaniu samych faktów dokonanych, Moskwa niczyjej pomocy nie potrzebuje i obecnej interwencji nie znosi. Dlatego właśnie w sprawie Persji niczego w Moskwie nie ośi gnęto, a przynajmniej nie ogłoszono. W Persji w stopniu najwyższym, w Niemczech bardziej ukrycie, a w stosunku do Turcji dopiero przygotowuje grunt, Moskwa realizuje swe imperialne cele metodą faktów dokonanych i nie pragnie mieć niepotrzebnych współników.

Rząd posłuszny woli Moskwy, w narzuconym przez nią składzie, powstały



Turecja w kleszczach Z. S. R. R.

na Węgrzech po zwycięstwie „opozycji”, powinien być dostatecznym ostrzeżeniem dla tych, którzy wiążą przesadne nadzieje z walką wyborczą w Polsce. Uchwały moskiewskie w sprawie rządu rumuńskiego i ich realizacja winny być następni przestrogi, tłumaczącą po co rządowi sowieckiemu jest potrzebna w krajach Międzymorza „opozycja”. Oto największe partie rumuńskie: chłopska i liberalna uznały, że w warunkach sowieckiej okupacji nie ma żadnego sensu jakakolwiek współpraca z rządem p. Grozy. Uchwały moskiewskie polecają szumnie rozszerzyć podstawę rządu p. Grozy przez dołączenie przedstawicieli obu partii opozycyjnych. Właściwi przywódcy obu partii — Maniu i Brătianu — nie wchodzą w skład rządu. Ponad ich głowami wybiera się dwu innych, których dekret królewski zgodnie z decyzją komisji alianckiej wprowadza do rządu. Czy zmieniła się przez to w Rumunii sytuacja polityczna? Nie! — natomiast po to wprowadzono przedstawicieli opozycji, by uspokoić opinię publiczną świata, że oto jeszcze w jednym zwasalizowanym przez Sowiety państwie panuje „demokracja”. Uchwały moskiewskie potraktowały Bułgarię jeszcze bardziej bezceremonialnie. Tam do rządu mają wejść dwaj przedstawiciele opozycji na podstawie „przyjaznej rady” samej Moskwy.

Odnosnie traktatów pokojowych Rosja może się pochwalić poważnym sukcesem przeprowadzwszy formułkę, według której projekty traktatów z Rumunią, Bułgarią i Węgrami ma opracować wielka trójka, do traktatu włoskiego ma dołączyć swój głos Francja, z Finlandią traktat ma przygotować Moskwa i Londyn. Jednym słowem — Moskwa jest wszędzie, a pozostali partnerzy porostawiani i nawet poróżnieni.

Francja pominięta w rozmowach moskiewskich, pomimo gorczych protestów na pocz tku rozmów, przyjęła ich rezultat, podobno wbrew woli de Gaulle'a.

Turecja zdecydowana na politykę — polską?

W tej sytuacji, gdy trwa polityka monarchijska mocarstw anglosaskich w stosunku do Moskwy, czy całego świata są zwrócone na Turcję. Turcja ma milion

ludzi pod bronią. Nie demobilizuje ich. Premier turecki oświadcza, że „jeżeli to będzie konieczne, Turcja iść będzie nadal drogą, która dała niepodległość jej narodowi”. Agencja telegraficzna Anatolia zapewniała: „Cała Turcja jest gotowa skoczyć raczej w płomień wojny, niż oddać jeden cal tureckiego terytorium”.

Moskwa nie ustaje w oskarżeniach pod adresem Turcji, a „Czerwona Gwiazda” wręcz oskarża Turcję o „wymachiwanie szabelką”. Równocześnie idą w świat coraz to nowe dowody historyczne, etnograficzne, strategiczne, wykazujące „słuszność” sowieckich pretensji terytorialnych, a sowiecki komisarz Mołotow swe oburzenie na Turcję uzasadnia w rozmowie z brytyjskim ministrem zagranicznych: „Ależ, panie Bevin, pan nie widział co Turcy zrobili z sowiecką księgarnią w Konstantynopolu. Księgarnia jest zupełnie zniszczona”.

O. Z. N. i Wielka Dwójka

Uzyskawszy co trzeba było w Moskwie, może polityka sowiecka zbagatelizować odbywające się w Londynie pierwsze zebranie delegatów 51 narodów zjednoczonych. Może przeboleć wybór belgijskiego ministra Spaaka na przewodniczącego, zamiast popieranego przez Rosję delegata Norwegii p. Lie, tym bardziej, że i przy tej okazji udało się pokłócić trochę narody zjednoczone.

Premier brytyjski, otwierając zebranie londyńskie, nie szczędził napomnień. Zaklinał, by obrać drogę współpracy, gdyż jest wybór „pomiędzy życiem i śmiercią”. Zapewniał: „Rozwój potężnych środków zniszczenia, które mogą być użyte z odległych baz, burzy iluzje izolacjonizmu... Bomba atomowa jest tylko jednym z ostatnich ostrzeżeń dla ludzkości, że o ile narzędzia zniszczenia nie będą poddane kontroli, straszliwa ruina i nawet zniszczenie stanie się udziałem najbardziej cywilizowanych narodów”.

Zdaniem brytyjskiego premiera trzeba dbać przede wszystkim o to, by ludzie byli syści, odziani i mieli gdzie mieszkać. „Widmo niepewności ekonomicznej stale i nieodparcie zagraża poszczególnym obywatelom, bardziej niż widmo wojny”. Zdaniem brytyjskiego premiera warto było również na otwarciu pierwszej sesji narodów zjednoczonych organiza-



Ważne osobistości Chin: gen. Marshall, marsz. Czang-Kai-Szek i jego małżonka

I tu dochodzimy do przyczyny, która utwierdza w przekonaniu, że organizacja narodów zjednoczonych w tej obecnej postaci nie może być niczym więcej, jak tylko marionetką w ręku wielkich mocarstw i to coraz bardziej wielkiej dwójki niż wielkiej trójki. W obecnej organizacji narodów zjednoczonych nie tylko nie zasiada prawowity przedstawiciel państwa polskiego, ale obok p. Rzymowskiego cały szereg narodów ujemionych przez Rosję Sowiecką reprezentują w Londynie po prostu moskiewscy agenci, których na sałę obrad wprowadził kompromis wielkiej trójki. Powatna prasa angielska coraz częściej stwierdza żełście Wielkiej Brytanii z roli partnera w wielkiej trójce do roli mocarstwa drugorzędnego. Nie brak też głosów domagających się, by Wielka Brytania świadomie obrała rolę i „statut największego państwa spośród średnich mocarstw” („The New Statesman and Nation”).

Czy rozkład wielkiej armii?

Polityce moskiewskiej nie wystarcza chociażby tylko czasowo, sprowadzić Wielką Brytanię do roli „średniego mocarstwa”. Każdy, kto na politykę socjalistyczną umie patrzeć, już dziś z łatwością zauważy, że agentury sowieckie rozkładają od wewnątrz potęgę amerykańską.

Strajki wybuchające raz po raz w Stanach Zjednoczonych są nie tylko wynikiem naturalnego prawa walki robotników o swe prawa w ustroju kapitalistycznym. Dziwnym trafem raz po raz ogarniają one takie warsztaty pracy, których unieruchomienie paraliżuje całą dziedzinę życia państwowego. Raz — są to windy w New Yorku, drugi raz centrale telefoniczne, za trzecim razem — porty itd. itd.

Tylko człowiek bezgranicznie naiwny może uwierzyć, że to tęsknota za domem

potrafiła zorganizować równocześnie demonstracje amerykańskich żołnierzy od Manili na Pacyfiku do Frankfurtu w Niemczech. Manifestacje, z dające przyspieszenia demobilizacji, manifestacje, w których na kwaterę główną gen. Mc Narney'a maszerowało 5 tysięcy szeregowców. A równocześnie zabito murzyna, który kradł sorty mundurowe; o murzyna upomnieli się z bronią w ręku murzyńscy żołnierze sąsiedniego obozu.

Wszystko to dzieje się w tym czasie, gdy amerykański tygodnik „Newsweek” w sposób następujący charakteryzuje stan armii amerykańskiej: „Siła uderzeniowa armii amerykańskiej spadła w sposób zastraszający i nadal prawdopodobnie będzie maleć... 8 maja było w armii amerykańskiej za morzem 5.470.000, zostało obecnie 2.100.000... Wojskowy transport lotniczy jest w 70% zdemobilizowany. Z 3.400.000 marynarzy trzecia część wróciła do cywila... Z 1308 okrętów bojowych ponad 500 będzie unieruchomionych w połowie lutego... Starsi oficerowie w Departamencie Marynarki twierdzą, że ich służba nie została „zdemobilizowana”, lecz „zdzięsiatowana”... Nikt nie próbuje przeczyć, że armia lądowa jako siła bojowa jest słaba i nieomal bezużyteczna. Marynarka jest tak zdezorganizowana, że nie mogła by dziś walczyć”.

Należy liczyć się oczywiście z uporządkowaniem i zorganizowaniem na nowo armii amerykańskiej po zakończeniu demobilizacji. Lecz i tu do dziś nie został uchwalony ostateczny projekt ustawy o powszechnym przeszkoleniu wojskowym.

Ataki na 2. Korpus

Jakżeś w świetle postępującej na całym świecie rozkładowej ofensywy bolszewickiej jasne i zrozumiałe stają się ostatnie ataki na 2. Korpus! Wybrano nas jako cel napaści, starając się wydzielić nas z całości wojska polskiego zagranicą, którego częścią jesteśmy; celowo starając oddzielić nas od Rzeczy, który uznajemy i uznawać będziemy. Nawet w najperfidniejszych atakach na Dowódcę Korpusu stara się propaganda moskiewsko-bierutowa i tę okazję wykorzystać dla przeciwstawienia Dowódcy Korpusu — Naczelnemu Wodzowi.

Padają na Korpus wyzwiska od faszyistów i reakcjonistów. Padają oskarżenia o przemyt broni do Polski. Podstępny wróg stara się stworzyć pozory, by przedstawić nas w roli emigracyjnego N. S. Z.

Nie można nie być dumnym z tych wszystkich ataków. Widocznie dostatecznie spełniamy rolę ciernia w sumieniu świata, którą świadomie na siebie przywołaliśmy, widocznie dostatecznie poważną jesteśmy przeszkodą dla sowieckich planów w Europie i polski i sowieckich planów w Europie i w świecie skoro nie ma prawie dnia, by z tej czy innej strony nie szły przeciwko nam niecne, podstępne ataki.

Wiemy, że nie jest to kres ataków. Wiemy, że będą się one pomnażać, a każda dalsza kapitulacja przed Rosją będzie im sprzyjać. Lecz nie zostaliśmy na uchodźstwie, by życie mieć łatwe. Zostaliśmy dla walki i w walce czujemy się dobrze.

M. p. 12. 1. 1946 r.

Jarosław Żaba

...KOCHAJ SAMEGO SIEBIE...

(Na marginesie roku 1863-4)

Znajduję starą książkę za półkę. Otwieram z kurzu brązowo-skórzany grzbiet i otwieram solidną okładkę. Jest zawsze coś niezmiernie przyjemnego, gdy ma się przed sobą nieznaną dzieło — owoc nieznanych myśli i pragnień. Co zawierają te, dziś pożółkłe, a niegdyś białe karty? Czy czas zmienił również sens w nich zawarty?

Rzucam okiem na tytuł: „Lettres slaves” — Listy słowiańskie — rok 1864 i motto: „Jeszcze Polska nie zginęła”. Staje zaraz przed oczyma to wszystko, co nasza, niestety, tak pobieżna znajomość wydarzeń, wywołuje na wspomnienie tej dary. Myśl prawie mimowoli podsuwa porównania. W tej chwili, tak ciężkiej dla nas nie tylko w pojęciu sytuacji w jakiej się znaleźliśmy w stosunku do świata nas otaczającego, ale jako momentu zwrotnego w nas samych — stał się ciekawy i pouczający ów głos emigranta, Krystyna Ostrowski o Polskę w Paryżu, na Zachodzie.

Z kurzu zapomnienia wyciągnięta książka okazuje się przedziwnie aktualna. Bo jeżeli jednaka jest idea, która Ostrowskiemu przyświeca: wolność dla swojej Ojczyzny — to okazuje się, że to, z czym Ostrowski walczył w szeregu swoich artykułów, również nie uległo zmianie.

Rok 1863 — Kraj pławi się we krwi, w nierównej walce z Rosją. Z listów Ostrowskiego, prawie pozbawionych ozdób literackich, biją w czytelnika obrazki deportacji i gwałtów, czerwieniące pożary i zgłiszcza, jaśnieją czyny męstwa i poświęcenia. Od sześciu lat takie fakty i przeżycia są naszym udziałem, tak jak było udziałem naszych przodków. I wróg jest ten sam.

Z paryskiego bruku perspektywa jest szeroka. Dla Ostrowskiego caryzm, tatarska dyktatura rzdząca milionami ciemnych, bezwolnych mas — jest uosobieniem zaborczości Rosji. Ale — mówi — dwa są ramiona caryzmu: Niemcy i Rosja. Warte jest przypomnienia i zapamiętania, że jak w 39 r., tak i w 63-4 podczas walki narodu polskiego z „jednym ramieniem” następuje „interwencja” drugiego. Samorzutna, szybka interwencja — „w interesie pokoju”.

W tamtej, 1863-4 roku, walce o wolność i owej „interwencji” — zwrócili się Polacy do wielkich mocarstw Zachodu, szukając u nich zrozumienia i wydatnej pomocy. Oddaję tu głos Ostrowskiemu:

„Te stronnice krwi i łez, pisane przeważnie na terenie wypadków, które opisuję — są historią jednego roku powstania polskiego, rozgrywającego się w 19 w., wśród rzezi, pożarów i deportacji — przy współudziale Niemiec i Rosji i przy całkowitej obojętności Zachodu. Nie ma znaczenia, że tę obojętność, źle udaną, pokrywa lawina mów, protestów, not dyplomatycznych, zawsze bardzo grzecznych w stosunku do katów — a często bardzo ostrych w stosunku do ofiar — to jest jedna więcej tortura dodana do ich kaźni. Ta obojętność wyraża się nawet czasami fałszywymi słowy przyjaźni — a oznacza dla tego, który potrafi je zrozumieć, zasadę: „każdy dla siebie”.

I wtedy, tak jak dziś, stanęły naprzeciw siebie dwa światopoglądy. Dla jednych „prawem nowoczesnej Europy — pisze Ostrowski — opanowanym przez wiary, rządy i interesy sprzeczne jest egoizm”. Ta obrzydliwa dewiza „każdy dla siebie” — „nie jest i nie będzie nigdy nasz”, gdyż nie jest ani chrześcijańską ani słuszną ani nawet logiczną”.

Te słowa Ostrowskiego zasługują na uwagę. Dziś z perspektywy czasu widzimy jasno, że owo skostnienie moralne Europy zachodniej nie przyniosło jej szczęścia. Egoizm i bezideowością w polityce przy-

gotowały sobie państwa zachodnie kolejno już dwie ogromne rzezie. Zło mógł się zawsze i absurdalny okazuje się dewiza, że można je wykorzystać. Można je tylko zwalczyć, albo mu ulec.

W 63 roku, jak i teraz, jesteśmy nosicielami ideowości w życiu międzypaństwowym. Nie tylko jednak nasz byt związany jest ze zwycięstwem tych idei, ale byt i szczęście całego świata. To jest prawda, którą głośno obwoływaliśmy w r. 63 — i dziś tak samo. Znowu cytujemy Ostrowskiego: „Nie będzie ani spokoju, ani pewności w Europie — dopóki krzyk ten nie będzie wysłuchany przez rządy”.

Nie tylko jednak o rządy chodzi Ostrowskiemu. Weźmy dla przykładu to, co mówi o Francji: „Podczas całej naszej pracy jako historyka, ani jeden fakt podany przez nas nie został uznany za nieprawdziwy przez prasę sprzedanej i zaprzędanej Rosji (ta liczy największej czytelników) ... Na wszystkich dworach Europy ma ona (Rosja) ministrów, dyplomatów i dziennikarzy na swoim żołdzie; ma dalej fałszywych emigrantów, pamphletistów, od deprawatorów obydwu płci, aż do historyków wzbogaconych złotem skradzionym z naszych kościołów — i tancerzy robiących propagandę na deskach teatralnych”.

ZGODA

Świat — choć stary, jest jednak wciąż tym samym światem.
Wina jest pospólna — zawsze ludzi zbliża.
Nieprzyjaciółmi byli — i zbrodnia dopiero —
— celn ponary czyjś niewinny krzyż —
sprawil, że się „dnia tego” znów czerwony Herod
z zawsze tak samo chwałejnym pogodził Pilatem...

J. E.

List do Redakcji

Chłopi i ludowcy

Artykuł St. Włodarza p. t. „Chłopi” w nrze 12 (27) „Ochotniczki” w imię ścisłości historycznej wymaga korektur. Chodzi o dzieje ruchu ludowego w Polsce. Z artykułu wynika, że w roku 1895 (?) grupa działaczy ludowych założyła — za przykładem P.P.S. — stronnictwo chłopskie, gotowe od razu formalnie i ideowo. Cytowane nazwiska przywódców obejmują obok niewątpliwych pionierów polskiego ruchu ludowego również działaczy całkiem młodych (n. p. Mierzwa) lub bardzo luźnie z ruchem związanych (n. p. Tetmajer), nie ma zaś wśród nich szereg nazwisk prawdziwie wielkich.

Twórcą polskiego ruchu ludowego, pierwszym świadomym ideologiem i politykiem chłopskim był ksiądz Stanisław Stojalowski. Od roku 1875 wydawał on dwa, potem złączone pisma: „Wienniec” i „Pszczółka”, poświęcone kształtowaniu ideologii zarysowującego się samodzielniego ruchu ludowego. Niebawem zawiązuje ks. Stojalowski pierwsze w historii polskie stronnictwo ludowe pod nazwą Chrześcijańsko Ludowe. Potężną pozycją dla myśli ludowej staje się od roku 1887 warszawski „Głos”, a zwłaszcza pisma jego redaktora, J. L. Popławskiego. Od tej pory poczynają się na terenie całej Polski, we wszystkich zaborach, powszechny ruch ludowy, skupiający się wokół najróżniejszych stowarzyszeń katolickich, regionalnych, kulturalnych, ideowych i coraz nowych czasopism. W roku 1889 pojawia się radykalny, jak na tamte czasy, „Przyjaciel ludu” pod redakcją Marii i Bolesława Wysłouchów oraz St. Stapińskiego, który zaczyna się wybić jako działacz

chłopski, zakładając Stronnictwo Ludowe. Akcja ludowa wzrasta i uzewnętrznia się w r. 1896 w postaci 6 wybranych do Sejmu galicyjskiego posłów chłopów. Są wśród nich Jakub Bojko i Andrzej Sredniawski. W roku 1901 głosami chłopów śląskich wybrany zostaje pierwszy poseł polski do parlamentu niemieckiego Wojciech Korfanty. W zaborze rosyjskim chłopi oddają swe głosy w wyborach do Dumy na posłów narodowo-demokratycznych.

Stronnictwo Chrześcijańsko-Ludowe ks. Stojalowskiego w r. 1911 łączy się ze stronnictwem Narodowo-Demokratycznym w Związek Ludowo-Narodowy. Żywiołem przeważającym są w nim zawsze, jak i potem w Stronnictwie Narodowym, chłopi. W Stronnictwie Ludowym Stapińskiego następuje w roku 1913 rozłam. Powstają trzy grupy ludowe: Stapińskiego, Wincentego Witosa (Polskie Stronnictwo Ludowe „Piast”), oraz „Zaranie” (późniejsze „Wyzwolenie”) Mariana Małinowskiego i St. Thugutta).

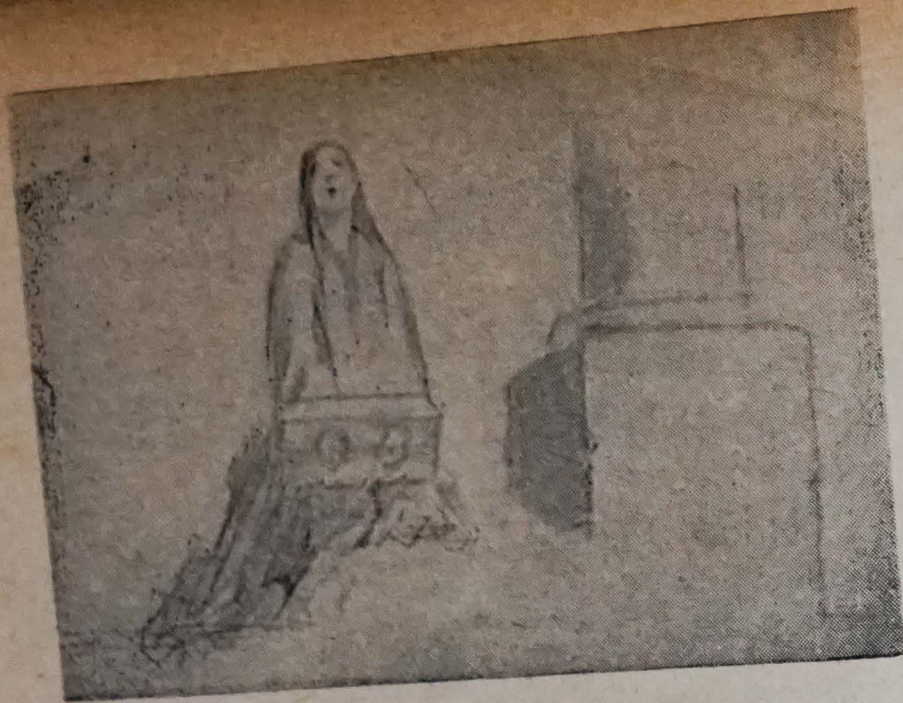
Podane fakty historyczne oczywiście nie obejmują nawet czwórki zjawisk ruchu ludowego, nazwisk działaczy, czy tytułów czasopism i organizacji politycznych. Polski ruch ludowy jest zjawiskiem bogatym i różnicowanym i co niesłychanie ważne, nie przywiązany do klasowości. Niewiadomo, skąd wziął St. Włodarz twierdzenie, że „Piast” był najsilniejszym stronnictwem politycznym w niepodległej Polsce, bo w ramach tego stronnictwa mieściła się tylko część ruchu chłopskiego.

Co innego są chłopi, a co innego ludowcy. A jeszcze co innego „piastowcy”.

Jan Bielatowicz



Wielki Boże! To Prawda!
Nie przepuszczajmy jej, bo będziemy zgubieni!
(Rysunek francuski z r. 1863)



Arthur Grotter: szkic do karty tyt. „Polonii“ (ołówkiem)

I wtedy — było wszystko ubrane w pięknie brzmiące hasła, maskowane poglądami postępu i kultury. Zależnie od okoliczności, robiono z nas reakcjonistów, albo... anarchistów. I wtedy — owi zwolennicy postępu i cywilizacji zachodnio-europejskiej byli dziwnie wyrozumiali i płaszczący się wobec samodzierżcy rosyjskiego i jego „uczuciu wspianolomyślnych”. I wtedy — Europa Zachodnia wodzona była na pasku.

My pozostaliśmy również niezmiennie przy naszej idei — tylko, że teraz wyznaje ją nie tylko hrabia Ostrowski, ale — pogłębioną i pełniejszą — inteligent, chłop i robotnik polski. Mamy wielu wrogów na Zachodzie, ale z ich właściwości a nie z naszych wynika nieprzyjaźń lub niechęć do nas. Jest to właśnie ta niezmienna oczywistość bijąca z książki Ostrowskiego, którą cytowana wzmianka

o Francji aż nadto jasno ilustruje. Przerzucam dalej kartki „Listów słowiańskich”. Snuje się w nich rwąca się nie nadziei w pomoc Europy. Przychodzi wreszcie owa akcja dyplomatyczna państw zachodnich. Po targach, następuje złożenie not ks. Górczakowowi. Wiemy, ile pokładały nadziei największe umysły polskie w Napoleonie III, jak zużyta trzydziestoma latami nieudanych zabiegów dyplomacja Hotelu Lambert nastawiała swoją busolę polityczną na drugą stronę Kanału La Manche. Głos polityków, czy to spod znaku Czartoryskiego czy Towarzystwa Demokratycznego, głos Kraju, który walczył bez zastrzeżeń i wątpliwości „za wolność naszą i waszą”, o pełną niepodległość — trafił w próżnię. Píše o tym Ostrowski:

„Wypadki w Polsce zastały Europę nie przygotowaną, mało znającą podstawy na-

szej budowy społecznej, nie wiedząc ani o charakterze, ani rozmiarze nieustannej walki, trwającej od czterdziestu lat na całym terytorium Polski. Kołysana długim triumfem zbrodni podziału — Europa przyzwyczaiła się uważać go jako fakt nieodwołalny, jeśli nie jako prawo przyznane sprzeniewierczyłom jako przedawnienie”.

Nieprzygotowana i pełna złej woli Europa przedstawiła rządowi rosyjskiemu sześć punktów, w których narodowi polskiemu, żądającemu wolnego bytu państwowego, proponowano mniej niż to, co przysługiwało mu według traktatu 1815 r., mniej nawet niż to, co dał mu Statut Organiczny z 1832 r., ten „kodeks zemsty Mikołaja I”.

A oto, jakie są wnioski Ostrowskiego z lekcji 1863 roku:

„Naród tak nieszczęśliwy jak nasz, winien naprzód kochać samego siebie, a miłość i przywiązanie przenoślić na innych wtedy, gdy nie będzie potrzebował ich pomocy do odzyskania stopnia i godności narodu wolnego”.

Tej słusznej i rozumnej miłości własnej — lecz nie grubego egoizmu — potrzeba nam i teraz. Trzeba pamiętać, że w stosunkach międzynarodowych miłość i przywiązanie nie mogą istnieć między potrzebującym a tym, do którego się zwraca o pomoc. Ułatwiliśmy w roku 1939 Europie otrząsnąć się ze złudzeń; nasz opór przeciwko niemieckiej agresji, jak błyskawica oświetlił właściwe niebezpieczeństwo zagrażające światu. Pomagaliśmy wszystkimi siłami zwalczać je. Nadal widzimy jasno, w czym dziękowi niebezpieczeństwo i nadal z nim walczymy.

„Myśleliśmy — pisze Ostrowski — że łcząc naszą sprawę ze sprawą cywilizacji, otrzymamy w zamian pomoc wydającą w momencie ostatecznym”.

W chwili obecnej cywilizacja Europy i świata stoi przed punktem zwrotnym. Coraz więcej ludzi zaczyna sobie zdawać sprawę, że jeżeli te zasady, które rządziły postępowaniem mocarstw w 1863-4, będą nadal obowiązywały, katastrofa o nieobliczalnych rozmiarach stoi przed światem.

Ludzie z pokolenia 63 r. wierzyli, że „sumienie powszechne Europy obudzi się”. Obudziło się ono dopiero w 1918 roku. Trzeba wierzyć, że ocknie się i teraz i że tak, jak w 1914-18 potrafimy połączyć naszą ideę cywilizacji europejskiej ze słuszną „miłością własną”.

St. Chojnacki



Jacek Malczewski: „Śmierć wygnanki”

WOJNA ZAKOŃCZYŁA SIĘ GŁUPIO

Nastroje powojenne społeczeństwa brytyjskiego

Napewno wielu Polaków we Włoszech, czytając gazety, zadaje sobie pytanie: „co właściwie dzieje się w Anglii”? Bo też i wszystkie ostatnie wypadki są tak niezgodne z tym, czego się zwykle spodziewamy po Wielkiej Brytanii i jej mieszkańcach, że nawet wielu Anglików nie może zrozumieć, co właściwie się stało po zakończeniu wojny.

Weźmy kilka najbardziej rzucających się w oczy faktów. Po ukonstytuowaniu rządu socjalistycznego, wybuchła fala strajków, wśród nich najpoważniejszy strajk robotników dokowych, którzy wyraźnie występują przeciw rządowi... wybranemu przez siebie samych, a nawet nie chcą słyszeć o mediacji ze strony własnych związków zawodowych. Stosunki z Rosją, niesłuchanie serdeczne kosztom dużych ustępstw za czasów konserwatystów, psują się gwałtownie po objęciu władzy przez socjalistów. Sytuacja żywnościowa i odzieżowa staje się powoli krytyczna w chwili, kiedy spodziewano się poprawy. Konserwatysta Churchill gromi w parlamencie rząd socjalistyczny za militarystę, wyrażający się w niepotrzebnym, jego zdaniem, przetrzymywaniu prawie czterech milionów ludzi w wojsku.

Możnaby jeszcze dużo przytoczyć podobnych przykładów, wskazujących niezbicie, że koniec wojny wywołał w Anglii pewne głębokie przemiany i jednocześnie przyspieszył wiele kwestii, które zawieszono w czasie wojny, naraz narzuciły się społeczeństwu nie bardzo wiedzącemu, co z nimi począć.

Koniec wojny w Europie, przyjęty początkowo z niesłuchanym entuzjazmem, okazał się wielkim rozczarowaniem. Przez pięć lat ludzie marzyli o tej chwili jako o radosnym dniu wyzwolenia od wszystkich kłopotów, trudności, braków i przykrości, które pociągała za sobą wojna. Każda pani Smith, zaganiana po „ogonkach”, — narzekająca na kupony odzieżowe, których przydział jest rzeczywiście mikroskopijny, niewystarczające racje żywnościowe, trudności opałowe, — spodziewała się, że w chwili poddania się Niemiec, wróci z powrotem normalne życie, że sklepy zapełnią się towarami, skończą się kontrole i t.d. Zaś pan Smith myślał naiwnie, że koniec wojny oznaczać będzie natychmiastowy powrót do pracy pokojowej, rozpoczęcie normalnego handlu i przemysłu. Strzelec lub porucznik Smith spodziewał się szybkiej demobilizacji i powrotu do żony i domu. Nie dziwnego, że wszyscy ci ludzie rozczarowali się gdy rz d ostrzegł ich, że trzeba zdwoić wysiłek, bo wojna z Japonią będzie długa i ciężka.

Pogodzono się wtedy z faktem, że koniec wojny w Europie nie znaczy bynajmniej końca wojny w ogóle. Ale tymczasem, dużo szybciej niż się spodziewano, przyszedł koniec wojny na Dalekim Wschodzie. I teraz nastąpiło drugie rozczarowanie, jeszcze większe niż po 1. V-day.

Naraz wyłoniła się kwestia Europy, nie zauważona do tego czasu przez przeciętnego Anglika. Żywność, któ-

rej nigdy na tej wyspie nie było dosyć, sprowadzana z za morza, coraz częściej musiała płynąć do głodnej Europy zamiast do angielskich spichrzy. Demobilizacji, mimo końca wojny, prawie nie przyspieszono. I dziś, niezadowolona, kiepsko ubrana Anglia stoi w obliczu zimy, która będzie może cięższa niż zimy wojenne.

Stosunek do Europy

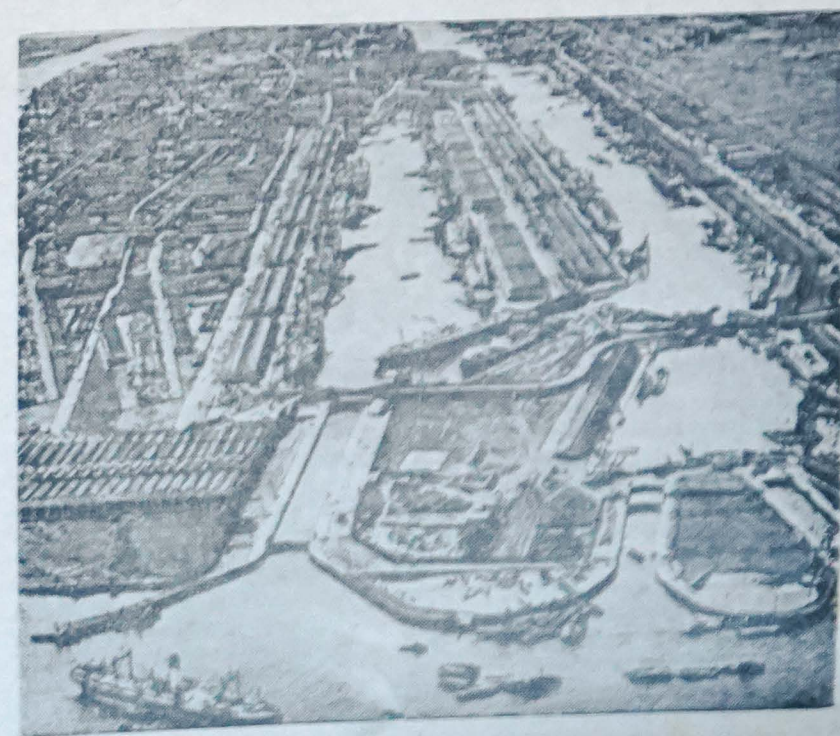
Wiele objawów życia brytyjskiego tłumaczy się tym, że jest to naród bardzo wyspiarski. Do cudzoziemca odnoszą się tu nieufnie z zasady. Dużo jest ludzi w Anglii, którzy ślepi i głusi wobec oczywistych faktów, nadal propagują odcięcie się od reszty świata i powrót do wyspiarskiego żywota. Anglicy jedynie z największą niechęcią zajmują się sprawami polityki zagranicznej i lubią zbywać kwestie europejskie szybkimi i błędnymi konkluzjami, byle tylko powrócić do golfa, wyścigów konnych i koininków. Przybycie masy cudzoziemców z całej Europy było więc dla Anglików wydarzeniem wstrząsającym. Musieli sobie zdać sprawę, że istnieje na świecie dużo więcej kwestii i problemów, niż im się wydawało. Byli zdumieni, gdy każda fala emigrantów przynosiła ze sobą swój własny zapas trosk i kłopotów, szokowali się zachowaniem cudzoziemców, ale jednocześnie ci przybywcy wniesli coś zupełnie nowego w wyspiarski charakter. Można powiedzieć, że „rozruszali” wyspę. Znam wielu Anglików, którzy twierdzą, że to przybycie cudzoziemców w niesłuchanie ich wzbogaciło ideowo i kulturalnie. Od emigrantów europejskich i żołnierzy sprzymierzonych po-

wiało świeżym wiatrem pierwszej od czasów Wilhelma Zdobywcy inwazji...

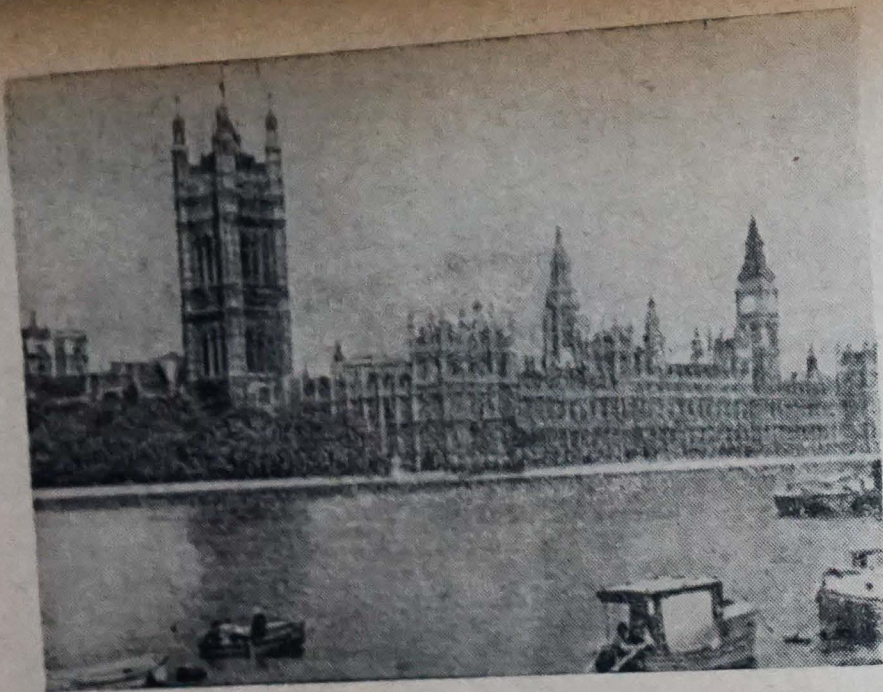
Sześć ostatnich lat bardzo zbliżyło Brytanię do Europy. Ale dopiero reportaż i zdjęcia z obozów koncentracyjnych i zniszczonych Niemiec postawiły brytyjczyków przed dylematem, w którym wrodzony wyspiarski egoizm walczy o lepsze z równie wrodzonym filantropizmem i tym świeżo zrodzonym uczuciem europejskiej wspólnoty.

Wielka Brytania jest krajem szpitali dla kotów, sierot i sierot dla psów, niezliczonych komitetów dobroczynnych i miłych serc oraz starych panien. Wiem, że dużo ludzi umiechnie się, przeczytawszy to i powie coś na temat „miękkich serc” i... Indii, kolonii, Burów, itd. Ale niesłusznie. Nie należy mieszać zewdziennymi uczuciami całego narodu. Jako potrzebnej polityki i praktyk rządu z przykładem podam wypadek, który zdarzył się w październiku b.r. W jednej z gazet pojawił się apel matki chorego dziecka o sok ananasowy wskazany przez lekarza dla małego pacjenta. O sok ananasowy jest dziś w Anglii niezmiernie trudno, mimo to, w ciągu dwóch dni 183 puszki soku wpłynęły do redakcji dziennika, który ogłosił apel, a więcej niż 2000 listów ofiarowało pomoc, usługi czy rady dla chorego. W kraju, który ma tak nikły przyrost naturalny, dziecko jest czymś niezmiernie cennym i kochanym.

Toteż kilka zdjęć z głodującymi dziećmi europejskimi — wywołało istną burzę. Setki listów napływało do redakcji dzienników. Autorzy tych listów, przeciętni szarzy obywatele, proponowali sami dalsze obciążenie



Dokł nad Tamizą koło Londynu



Londyn — gmach Parlamentu widziany od strony Tamizy

racji żywnościowych w Anglii, celem zwiększenia pomocy Europie. Na listy nadeszło tyleż odpowiedzi od oburzonych John Bullów, żądających wstrzymania dostaw do Europy i zwiększenia racji na wyspie. Argumenty używane przez nich streszczają się zwykle do twierdzenia, „że inni na wojnach zyskują, a my musimy za wojny płacić”.

Rząd tymczasem raczej trzyma się złotego środka. Minister dostaw stwierdził kategorycznie, że na dalsze obciążenie racji dla ludności cywilnej nie pozwoli. Lecz wojskowe racje zostają poważnie zmniejszone, a pewne towary, które dotychczas można było nabyć w wolnym handlu, mają obecnie zostać racjonowane. Jednocześnie wysłała się do Europy wszystko co tylko możliwe. Ostatnio na przykład 50.000 ton zboża, przeznaczonego dla Anglii, zostało na żądanie marz. Montgomery skierowane do Niemiec.

Stosunek do Rosji

Duża część społeczeństwa brytyjskiego jest, a może raczej do niedawna była, zakochana w Rosji. Propaganda sowiecka w tym kraju robiła nieźle, a sukcesy wojak zostały ogólnie uznane za decydujące w wojnie europejskiej.

Miliony ludzi widzi w Rosji, kraju ich zdaniem socjalistycznym, niemal bajkowy ideał. Legenda Sowietów i armii czerwonej, niezwykle sprytnie posiana, zapuściła głębokie korzenie.

Partie polityczne, motywy wbrew własnej woli, zmuszone zostały do ostentacyjnej prorosyjskiej postawy. Socjaliści i racji rzekomego pokrewieństwa ideowego poczęli twierdzić, że tylko oni potrafią utrzymać przyjaźń z Rosją. Zmusiło to konserwatystów do okazania się „plus catholique que le pape” i wykazania, że są do Rosji nastawieni entuzjastycznie. Rozpoczęła się istna licytacja prorosyjskości między partiami. To z kolei doprowadziło do zwiększenia ogólnego entuzjazmu dla Rosji. I jeżeli dzisiaj coraz więcej lu-

dzie na wakacje. Farmerzy w związku z intensyfikacją gospodarki rolnej stale się bogac. Przedmioty luksusu zawędrowały po raz pierwszy do wszystkich domów. Pomocnicze domowe stały się wspomnieniem z jakichś dawnych dziwnych czasów.

Tymczasem koniec wojny przyniósł z sobą nieunikniony powrót dawnych stosunków. Robotnikom cofnięto t.zw. war-bonus, fabryki zbrojeniowe zamknięto, demobilizacja wojska i robotników wojennych wyrzuciła na rynek milion mężczyzn w ciągu pół roku. Obecnie jest już około 300.000 bezrobotnych w Wielkiej Brytanii. Tymczasem ceny, które w czasie wojny wzrosły od 30-100%, nie spadają.

Jest jasne, że robotnicy, którzy zaczęli uważać wysoki standard wojenny za stały, nie chcą się zgodzić z powrotem do biedy, zasiłków i szukania pracy.

Jednocześnie sytuacja budowlana, zabagniona przez ministra konserwatywnego i nadal nieumiejętne prowadzona przez socjalistów — jest krytyczna. Potrzeba gwałtownie 800.000 nowych domów, a nie buduje się nic. Tak zwane „prefabricated houses” nie rozwiązują sprawy i wogóle często zakrawają na kpiny.

Sytuacja odzieżowa jest bardzo ciężka. Ilość kuponów pozwala na dokupienie od czasu do czasu bielizny czy drobnych części garderoby. Jak długo jeszcze przedwojenne ubrania i płaszcze trzymają się, ludzie dają sobie jako tako radę. Ale nawet najtrwalsze rzeczy niszcza się przez sześć lat, a kupienie w ciągu roku ubrania i kosztuły wyklucza już wszelkie dalsze zakupy w tym roku. Kobiety prawie zupełnie nie noszą pończoch mimo zimna, wielu mężczyzn nie nosi skarpetek.

Surowe kontrole, wprowadzone w czasie wojny, uniemożliwiają rozpoczęcie normalnego życia handlowego, zresztą nie bardzo jeszcze jest z kim handlować. Rząd labourystowski nie kwapi się ze zniesieniem kontroli i utrudnień, a często nawet robi nowe.

Wszystko to wpływa na wielki wzrost niezadowolenia. Dziś jeszcze szerokie masy sądzą, że rząd socjalistyczny znalazł rozwiązanie tych, palących kwestii. Ale już zdarzają się wypadki niesubordynacji robotników, jak w słynnym strajku robotników dokowych, którzy żądają utrzymania zarobków na standardzie co najmniej wojennym.

Jedno przeświadczenie panuje powszechnie w społeczeństwie brytyjskim, przeświadczenie, które my Polacy w pełni podziwiamy: że wojna ta nie zakończyła się głupio i nie szczęśliwie, że pokój, który nastąpił, jest bardzo daleko od tego, jakiego mieliśmy prawo oczekiwać po pięciu latach krwawych walk.

I jeżeli więcej się dziś mówi w Wielkiej Brytanii o możliwościach przyszłej wojny, niż nawet o sporcie, świadczy to wyraźnie, że i tu nikt w pokój nie wierzy.

Roman W. Bader



Rys. Krystyna Domańska

NAJŚCIE „SCYTÓW”

Był to dzień bardzo biały i cichy. Śnieg padał dużymi płatami, gór nie było widać, majaczyła tylko ciemna ściana pobliskiego lasu i domki w dolinie.

Od dwunastu dni byliśmy odcięci od świata.

Czerwona armia zajęła 17 stycznia Kraków i poszła dalej. Wiedzieliśmy z tajnego podsłuchu radiowego, że jest już na Śląsku i okrągła Północ; o naszym zakątku jakby zapomniano. Nieliczne oddziały niemieckie siedziały jeszcze w Zakopanem, zewsząd odcięte. Wymykały się one nocą, przez góry i wpadały tam na sowieckie oddziały patrolujące przełęcze. Strzały artyleryjskie, powtarzane echem gór niepokoiły wioski wtulone w lasy i wawozy, silniejsze noce wybuchy — to były ryki na potokach mosty.

Pewnego pogodnego dnia przepłynęły nad nami dwie eskadry amerykańskich bombowców na bardzo dużej wysokości; wyglądały jak rój białych komarów, pod słońce — jak rzucona na niebo garść iskierek.

Raz ostatni przejechał nisko niemiecki aparat wywiadowczy, jakiegoś blaski lśniły wieczorami na horyzoncie, były dalekie głuche grzmoty; na wypadek ostrzału artyleryjskiego mieliśmy uciekać w góry.

W Zakopanem odbywały się tymczasem samosady. Jeden z pierwszych poszedł na gałąź Wacław Krzeptowski, który pohańbił imię górali; musiał więc zginąć wraz z niemiecką okupacją. Potem z rozkazu tajnych wyroków zgładzono jeszcze kilku konfidentów i donosicieli. Mimo, że zabrakło wszelkich władz bezpieczeństwa, nie było w mieście żadnych ekscesów.

Wreszcie nadszedł ten biały dzień 29 stycznia.

Nocą „sprengkommando” wysadziło most na Białym Dunajcu, od czego zachwiały się domki w Poroninie. Rankiem stało jeszcze na szosie w miasteczku

Białka działko przeciwpancerne, osłonięte białą płachtą, koło niego kręciło się kilku żołnierzy niemieckich w białych kombinezonach, potem znikli ci ostatni. „Za dziesięć lat znowu tu będziemy!” — oświadczył beczelnie oficer, opuszczając kwatery.

Zerwano jeszcze kilka mostów w Zakopanem i zaległa znowu śnieżna cisza.

Po południu pokazały się na szosach jakieś zwarte gromady pieszych, jeźdźców i ładownych wozów. Szły one od Nowego Targu i od Bukowiny, czyli od przełęczy Słowackiej, i szły się w Poroninie i sunęły dalej ku Zakopanemu, jak bury strzępiasty wąż.

— Bolszewicy!... — poszło jak ogień od chaty do chaty.

Wtargnęli oni na ten szmat ziemi podgórskiej bocznymi drogami, wpływ przez potoki, pytając wci 2: „Czy daleko do granicy niemieckiej?” I — „kiedy droga?” — a spieszyli jakby ich kto gonił.

Ludność wyległa na ulicę czujna, podejrzliwa, milcząca, tu i ówdzie ktoś, znający język rosyjski, nawiązywał rozmowę.

— Skąd idą? — Ze Słowacji. — A dokąd? — Oczywiście do Berlina!... Czy jeszcze daleko?...

Na skrzyżowaniu dróg stał młody, przystojny chłopak, oficer, zapewne „politruk”, który informował ciekawych: Czerwona Armia oswojodziła Polskę, po rozbiu Niemców Polska odzyska samodzielną i Słowacja również i wszystkie wyzwolone narody... Sowietci walczą z potęgą faszyzmu dla dobra ludzkości, po zawarciu pokoju ustalone będą wszędzie wojsko demokratyczne... i tak dalej, itd. Miał w pogotowiu ulotki propagandowe, gazетки żołnierskie z ostatnimi rozkazami Stalina.

A potok „Scytów” płynął dalej: wozy ładowne jakimś nieokreślonym sprzętem,

pośród worków blaszanki, koła drewniane, tłumoki, opony, skrzynie. Koniki na ogół małe, obrosłe, zdrożone, inne, prawdopodobnie zdobyczne, szły na przyprząskę.

Żołnierze w szarych szynelach, barankowych, uszatyh czapkach i filcowym obuwiu t.zw. „walonkach”, mieli jednak wszyscy broń automatyczną na ramieniu.

Z tłumy dochodziły dźwięki harmonii, niektórzy żołnierze widocznie poachoceni, puszczały się w „prysyudy” przy dźwiękach okrzyków, większość jednak posuwała się milcząc, jak niepowstrzymany potok, któremu próżno stawiać zapory, jak stado głodnych, białych wilków śpieszących na żer.

Twarze zaś pod uszatyh czapkami były tak rozmaite, jak rozmaity jest skład etniczny 16-tu republik sowieckiego Związku. Od płaskich i złotych, skośno-okich, bez zarostu, aż do krogulczych rysów, czarnowłosych i bladoliczych ludów kaukaskich. Były tam brodate oblicza białoruskich „dziadźków”, semickie Żydów i Armeńczyków, białoruskie Lapończyków, miedziane z obwisłymi nosami Kozaków — wielojęzyczna rzesza Azjatów i pół-Azjatów, wszyscy pod jednym białym szynelem i barankową, uszatą czapką. Przeważał typ mongolsko-aryjski o prymitywnych, jakby niewykończonych rysach; na jeden wzór lepiące żołnierskie kukielki.

Nie było to oczywiście ani liniowe, ani regularne wojsko, które ominęszy zakopiański „przyładek”, walczyło już znacznie dalej, ale treny obozowe czy maruderzy, najdziwniejszy skład ludzi i sprzętu — dla nas wszelako było to pierwsze pamiętne spotkanie z czerwoną armią na ziemi polskiej.

Ogarnęli Zakopane, zajmując tylko skromne prywatne domy, a unikając większych, poniemieckich gmachów, hoteli i lepszych pensjonatów, stojących

puszkami; obawiali się, że budynki te są podminowane. Na drewnianych willach wypisywali niezdarne kredą swoje nazwiska i strzałki orientacyjne; rozglądali się za wodką i za zegarkami, przywłaszczając sobie chętnie nawet kuchenne budziki, nawet ściennie zegary i ciesząc się ich tykaniem jak dzieci. Na ulicach zaczęli brutalnie kobiety.

W następną niedzielę, w ośnieżającą pogodę zeszły się do kościoła w Poroninie tłumy górali; przeważała młodzież, którą ścisnęła z gór ciekawość nowin i pewność, że już im nie grożą łapanki niemieckie. Wzorczyście haftowane białe portki mężczyźni, ich rudoczarne serdaki i szerokopole zawadiacko nasadzone kapelusze z ciętzwimi piórami i jeleńskimi kitami, kwieciste spódnice kobiet i lśniące jedwabne chustki z długimi frędzlami odbijały od iskrzącego śniegu, grając w słońcu jak wiosenna łąka. Opodal stały gromadki uszatyh „krasnoarmiejców” i przyglądali się temu widowisku.

Sowieci przeważnie nie śmieli wchodzić do kościołów, oniemielała ich tajemnica tych niezwykłych przybytków, do których ludzie schodzili się tak pięknie przybrani, które rozbrzmiewały pieśniami i jarzyły się świecami; kto się odważył, w dzień powszedni, zajrzeć do kościoła nie zdemował czapki, nie umiał się przeteżgnąć.

Młodzież świeżo przybyła z Rosji nie znała nawet z widzenia znaku krzyża.

— Człowiek przygwożdżony? Człowiek na krzyżu — co to jest? — pytał z największym zdumieniem, prawie lękiem, młody chłopak, zauważywszy krzyż nad łóżkiem w polskim domu.

Kilka starych rodzinnych portretów w stołowym pokoju wiejskiego dworu obudziło zainteresowanie innej grupy żołnierzy.

— To chyba wodzowie francuskiej rewolucji... — wysunęli przypuszczenie.

— A et o — wskazał jeden z nich stary portret napoleońskiego oficera z wysokim czakiem w rękę — et o dożen byi' Tamerlan...

Również jak krzyż nieznanne, a więc niepojęte były dla „krasnoarmiejca” tradycje starego polskiego dworu.

W jakiś inny słoneczny dzień zimy zjawił się na ulicach Zakopanego niezwykły pochód: oto od strony słowackiej, szosa do Morskiego Oka szła kolumna ładownych sań zaprzężona w wielbłądy. Dwugarbne azjatyckie dromadery z odchyłonymi w tył głowami patrzyły sennym wzrokiem, z wyrazem znudzenia i pogardy na śniegi tatrzańskie i ciemną sylwetę Giewontu w niebieskiej poświacie. Po wielbłądach zjawiły się

urody. Włosy kazała myć w jajku, twarz smarować miodem, a w razie ukazania się najmniejszego pryszczyka brać lewatywę z rumianku.

— Trudno, Maniu, trzeba cierpieć, żeby być damą — mówiła, kiedy broniłam się z płaczem — a teraz jako przyszła żona oberkelnera musisz dbać o cerę. Cera u kobiety to wszystko — pamiętaj — wszystko!!!

Ale te zabiegi i wiele innych na nic się przydały, bo pewnego dnia mój narzeczony, kąpiąc się daleko od brzegu, trafił na wir i utonął. Nawet ciała nie znaleźiono. Martwiłam się bardzo, bo chciałam iść za trumną w czarnym welonie, a potem zemleć nad grobem jak pani Borwacka. Ale nic z tego nie było.

— I tak fiuuut, pooszała twoja kariera — przypieczętowała nieszczęście ciotka Cezaryna i przestała się mną zajmować.

Usłyszałyśmy trzask przekręcanego we drzwiach klucza, więc Mira przerwała opowiadanie.

Oddziałowa wprowadziła do celi panią Kochlewską. Była to starsza pani, siwa nabożna, ponura i tak małowólna, że nie wiedziałyśmy o niej nic, ani za co siedzi, ani historii jej życia. Wyglądała na chronicznie zgorzonia naszym bezrozkim zachowaniem się. Uważała widocznie, że więzienie jest po to, żeby oddawać się wyłączeniu cierpieniu, a nie śpiewać piosenki w rodzaju: „O mój Boże, smutno mnie — on się bawi, a ja nie — on się bawi, a ja płaczę — że wolności nie zobaczę —”, albo opowiadać dwuznaczne kawały, kręcić locz-

reny, słończone stadko o gałęziastych rogach, popędzane przez drobnych i skośnookich Lapończyków i pomknęły na zachód; potem śnieg zasypał ślady szeroko rozstawionych racic tych przybyszów z dalekiej, dalekiej północy.

Postoje sowieckie nie były wtedy dotrwałe, wojna toczyła się jeszcze, a żołnierzom czerwonej armii było śpieszno do tej granicy niemieckiej, poza którą mieli sobie obiecaną bezkarną hulankę. Ale po jednych przychodzili drudzy głodni, brudni, zdżożeni, zawsze z tymi samymi żadaniami jedzenia, noclegów i kobiet, zawsze z tym samym argumentem: — my was oswobodziliśmy... wszystko nam się należy.

— Toż to nie ludzie! — mówili górale ze zgrozą — Boga nie znają, kobiet nie szanują!

— Niewierny to naród te Rusjoki!

— Zbóje gorsze od Niemców!

— Jesce i to tseba nam psecierpieć, jesce i to... — kiwali głowami starsi.

— Wola Tego co świat Jego! — zakończył sentencjonalnie mądry gazda z Murzasiczka i ruszył swoim posuwistym krokiem w górę Galicowej Grapy.

Poronin, styczeń 1945 r. —

Ancona, grudzień 1945 r.

Dorota Obuchowicz

KSIEŻYC NAD PAWIAKIEM

Oddziałowe już pogasiły światła i można było zacząć opowiadanie. Był to wieczór Miry Zimińskiej. Siedziała od niedawna i musiała nam opowiedzieć wszystko o swoim dzieciństwie w Plocku i późniejszej karierze sceniczej.

— A więc skończyłam na urodzinach — zaczęła Mira. — Szesnaście lat — mówi mama — to już czas pomyśleć o mężu. — A że właśnie przyjechał do Plocka na urlop sam oberkelner z Bristolu, więc mama powiada znowu:

— Czy ty rozumiesz Mania, co by to była za kariera dla Ciebie? Z prowincji do Warszawy! W wielki świat!... Ale gdzieby tam taka figura... To nie dla ciebie! — westchnęła ciężko i patrząc na mnie z politowaniem, kiwała głową.

— Albo ty potrafisz przetrzymać męża — czyż tak, żeby się oświadczył?

Ale okazało się, że nie potrzebowałam wcale przetrzymywać pana oberkelnera, bo zrobiła to mama i ciotka bez mojego udziału i to tak szybko, że już po drugiej kolacji obficie zakropionej wódki — oświadczył się mamie, ale nie o mamę, tylko o mnie.

Od tego dnia chodziliśmy na spacer pod rękę, najchętniej do parku, albo do kawiarni na lody, a wieczorami nad Wisłą, bo mama mówiła, że nad wodą jest bardzo romantycznie. Znajomi wychylali się z okien, albo przysuwali na nasz widok na ulicy, kłaniając się grzeczne i nieraz słyszałam jak mówili za moimi plecami: Ta Mania ma szczęście! Takiego męża złapała! Fiu, luuu...

Ciotka Cezaryna przybiegała często z radami w sprawie wyprawy i pielęgnowa-

ki z podartych kazonnych prześcieradeł, mydło się bez bielizny i w ogóle zachowywać się niepoważnie.

Odplącałyśmy jej wzdorliwą obojętnością. Cierpiętnictwo i histéria były jak najsurowiej tępione w naszej celi. Chodziło o to, żeby nie wyjść z formy, a drogą prowadzącą do tego celu, było świadome odcięcie się od potworności dnia codziennego. Wszelkie rozmowy na tematy aktualne były niedozwolone. Dzięki temu panował u nas wspaniały nastrój, a ponura pani Kochlewka nazywała się Koczkodanem

— Ile razy na nią spojrzę, to mnie mdli... ale to tak mdli — mówiła Marysia d'Alfons, młoda aktorka Reduty, robiąc przy tym taką minę, że odszkakiwałyśmy od niej w obawie o nasze ubrania.

— Na przykład taki Jamnik — dużo starsza od niej, a jaki fason trzyma! — Ach! Jamnik jest byczy! — potwierdzały wszystkie, bowiem Irena Wasiużyńska, stara kurierka Marszałka, była niesłychanie popularna.

Teraz przy wejściu pani Kochlewskiej zapanowała cisza. Wracała z przesłuchania, więc mogła coś powiedzieć. Ale siedziała na łóżku kamienna jak zawsze. Dopiero po chwili powiedziała cicho:

— Może któraś z pań pomoże mi się rozebrać.

Rzuciliśmy się wszystkie do niej. Ze swetrem było pół biedy, ale z koszula nie mogłyśmy sobie poradzić, tak mocno była przyklejona warstwą krwi do pleców. Widziałyśmy już tyle razy wracające z przesłuchań; sekretarki Pierackiego — Krupskiej, która powróciła po dwu ty-

godniach pobytu w Gestapo, nikt nie mógł poznać; Stasia Weinz kilka dni temu pokazała nam plecy koloru dojrzalej śliwki; ślicznej, młodzianki Marcie Szwajda odbito przy badaniach nerki; Grzelińską, studentkę medycyny, Feldhaber bił co noc w celi or tak dawna, że mu to weszło w zwyczaj. Każdą z nas miało to samo spotkać za dzień, za miesiąc, czy godzinę, ale teraz najtwardsze z nas pochylały się nad skatowaną staruszką z uczuciem nieopisanego żgrozy.

— Nie, tego już za dużo! Takiego świnstwa nawet po Niemcach się nie spodziewałam — wyszeptala Kuba.

Robiliśmy co było można, żeby odmożyć od pleców tę nieszczęsną koszulę, ale trzymała się ich uparcie. Pani Kochlewka w czasie tych zabiegów leżała cicho, bez jęku. Zaproponowałyśmy wreszcie, że ją odniesiemy do szpitala, ale powiedziała, że nie, że stanowczo nie chce.

— Dlaczego? Będzie tam pani dużo lepiej — przekonywała ją rozsądnie Halina Starczewska.

— Smutno mi będzie bez was — powiedziała nieoczekiwanie. — Wiecie, kiedy siedziałam w „tramwaju” (tramwajem nazywała się cela w podziemiach Gestapo, w której oczekiwano na przesłuchanie) — przypomniła mi się ta wasza dziwna piosenka. I mimo, że tak często ją słyszałam, nie mogłam sobie w żaden sposób przypomnieć drugiej zwrotki. Może mi ją zaśpiewacie.

Więc mimo, że nam wcale nie chciało się śpiewać, zaczęłyśmy — „O mój Boże smutno mnie — on się bawi a ja nie — on się bawi z wityrskami — a ja siedzę za kratkami”. Ale przy końcowym „ajdajdaj”, które było trzeba śpiewać solo, głos Zosi Szymanowskiej się załamał.

— Pani Kochlewka jest bycza! — ryknął nagle Pserzeron — ten sam, który kilka dni temu prosił Kosię-Mosię, żeby zabrała nam z celi to stare pudło, bo nie można z nim wytrzymać.

— Pani Kochlewka jest bycza — powtórzyła znowu w charakterze ekspiacji, na co kamienna twarz staruszki po raz pierwszy rozpromieniła się w uśmiechu.

Taki to dziwny fason miała stara pani Kochlewka.

Księżyc jak w prostackiej dekoracji teatralnej wisiał nad oknem celi i powtarzał na ścianie wydłużony rysunek krat. Gdzieś w dalekim tajemniczym mieście dzwonił tramwaj i z przeciągłym śpiewem mijał zakręty.

Cisza była wypełniona równymi oddechami śpiących. „Wacha” mierzyla podkurtykami butami długość korytarza.

— Kaczorku, śpiż? — usłyszałam szept Wandy Zwolińskiej. Nazywano nienie tak, bo umiała kwakać jak Kaczor Donald z rysunkowych filmów.

Wanda lubiła przegadywać noce. Pawiak znalazł jeszcze z czasów rosyjskich, kiedy po raz pierwszy odsiadywała tu swoją karę pod strażą carskich żandarmerów. Halina Jaroszewiczowa nie spała także. Ona również pamiętała Pawiak rosyjski.

Usiadłyśmy razem, wygodnie oparte o ścianę.



Kobiety prowadzone na rozstrzelanie w lasu Palmiry pod Warszawą

— Jeżeli uklonić się księżycowi trzy razy i powiedzieć głośno życzenie, wieczem, że się spełni — spełni się napewno — powiedziała Wanda, spec od wszelkich czarów.

Ukloniliśmy się w trzech czołobitnych pokłonach.

— Nie chcę umierać. Nie chcę umierać. To wszystko czego chcę — powiedziała Wanda, skazana wyrokiem Sondergerichtu na karę śmierci. Był to pierwszy raz, kiedy mówiła na ten temat.

— A ja jeżeli już muszę umierać — to chciałyby, żeby się to stało nagle, bez bicia, komór gazowych i całej tej niemieckiej makabry. — Taką prośbę miała Halina Jaroszewiczowa. Ale po chwili dodała jakby na swoje usprawiedliwienie:

— Jesteśmy bardzo zasadnicze dzisiaj. Widocznie coś wisi w powietrzu. No, Kaczor, teraz twoja kolej.

Ale mnie nic nie przychodziło do głowy. Nie wiedziałam, które życzenie ze wszystkich ważnych jest najważniejsze. Tamte dwie czekały cierpliwie.

Tramwaj znowu zaśpiewał na zakręcie i dzwonił swoją najpiękniejszą piosenką swobodnego ruchu, miejskiego gwaru, życia, światła, pośpiechu. Aż przymknęłam oczy od nagłej świadomości, że tego właśnie pragnę najbardziej: wsiść do jasnego, ciepłego tramwaju i jechać Marszałkowską, kolorową od neonów, Alejami Ujazdowskimi cieniastymi od drzew, Mostem Poniatowskiego, który przerzucony nad Wisłą prowadził w szeroki świat... jak kiedyś dawno, tak dawno, że chyba w innym życiu. Więc powiedziałam:

Jest we mnie dziłość zwierząt, uwiecznionych w śladach, ich szalenstwo — szpazm trwogi — poploch — szmatante — Wiem, jak to jest z ptakami, gdy ślepe ich skrzydła Tłuką się beznadziejnie po bezdusznej ścianie.

I wiem, co mają w oczach sarny, gdy wśród sosen Śmierć zastąpi im drogę straszliwym upiorem — I czasem krzyżać pragnę przeraźliwym głosem Zajęcy mordowanych przez zżiałą sforę.

Ravensbrueck, 1943 r.

Zofia Górska



(Rys St. Westwalewicz)

Piazza del Popolo

MÓJ RZYM

Już temu bardzo dawno, kiedy uciekłem od gromady turystów, goniących galopem po wszystkich rzymskich muzeach, zziębniętych i nienasyconych, opętanych pragnieniem widzenia wszystkiego i dowiedzenia się wszystkiego. Poszedłem wtedy samopas krętymi i białymi uliczkami, dokąd mnie oczy poniosą. I tak się zdarzyło, że znielaczka stanąłem oczarowany przed Fontana di Trevi. Obskoczyła mnie zgraja chłopaków o chytrych oczach, o czarnych czuprynach i o niesłychanie obrotnych językach. Jeli mnie gorąco namawiać, bym rzucił jednego solda do cysterny. Że mi to przyniesie nie tylko szczęście, lecz że przede wszystkim wróć jeszcze raz do Rzymu. Rzuciłem, chłopcy skoczyli za pieniążkiem do wody, pchbili się, a ja istotnie wróciłem do Rzymu.

Już temu ogromnie dawno i trzeba było tylu lat wojny i tylu lat drotów kołczastych i błędzenia po dalekim świecie, by nareszcie znaleźć drogę do niego. I by się znaleźć w nim, jakby w drugim ojczystym mieście.

„Roma, it is the city where every person of culture find his second home; the home of spirit” — powiedział jakiś Anglik.

Dobrze powiedział, lecz zanim do tego „home of spirit” dotarłem, z obozu koncentracyjnego po przez Paryż, zapadła wieś francuska w Alpach, Niceę, Anconę i przez Apeniny w doliny górnego Tybru, trzeba było przemienić się w jakiegoś pielgrzyma pełnego chrześcijańskiej pokory, trzeba było szepnąć po drodze pacierze i z łęką patrzeć z jakiegoś niebotycznej drożyny w szarą przepaść pod kotłami ciężarówkami, trzeba było stać się przede wszystkim innym człowiekiem, tym samym — w przybliżeniu przynaj-

mniej — człowiekiem, co ongiś przed laty, przed Fontana di Trevi.

Paryż był dla mnie nieprzeliczonym zbiegowiskiem ludzi z całego prawie świata i bełkotem zadufających w sobie Amerykanów, zdumieniem na widok długich kuciel chleba o skórkach tak dziwnie chrupiących w zębach, urokiem malowanych ust dziewczęcych w kształt stylizowanego serca, łatwej miłości, duznego metra Pól Elizejskich i radosnym zjawiskiem Wenus w Luwrze. Paryż był dla mnie rokokowym portalem, szeroko rozwartym, przez które barbarzyńca wstępuje w świat nierealny, w świat radosnej przygody, o którym tylko w zuchwałych snach można marzyć. Paryż był dla mnie miastem miłości i miastem rewolucyj.

Zagubiona wieś francuska w Alpach, jakiś cudaczny Biviers, przyniosła słoneczną ciszę za dnia i srebrne noce księżycowe, szum starej morwy nade mną i zapamiętały, metaliczny krzyk świerszczy w winnicach, towarzystwo rudego kotka i włośczęgi z bezdomnym psem góralskim nad leniwą Iserą. A ponad wszystkim była słoneczna cisza za dnia i srebrna cisza po nocach, oraz jedwabny szum wiatru, spływającego po stokach Belledonne w głąbie starej morwy.

Nicea była najpiękniejsza.

Nicea była pełna słońca, wędrującego po ogromnie błękitnym niebie, i pełna słońca pławiącego się w ogromnie błękitnym morzu. Poza mną, w Alpach, francuskie zostały śnieg, mróz i narty. Niebo w Nicei było tak błękitne, jak oczy dziewczyny w moich Beskidach, a słońce było tak złote i tak ciche, jak serce kogoś niesłychanie dobrego, jak chyba serce matki. Nad morzem rozsiadła się Nicea o wulgarnym przepychu, a pod jakimś chateau

bez nazwy, na skalistym pagórze, skupiła się stara Nicea. Obie słuchały niebieskiego morza, które szumiło i szumiło bez miary i bez końca, łagodnie, miękko, rozmięając słońce na łuski, na złocisty piasek, na radosny zachwyt. Złoty piasek sypał się również bez miary i bez końca w znużoną pocy i w poszczerbione serce, i czyniło z nimi tuda. Bo stare oczy rozpały się złotymi iskierkami, a serce, to głupie serce ludzkie upiło się jak chłop w przydrożnej karczynie. I było mu dobrze, bo wszelkie wspomnienia wyciekły z niego jakąś drobną szczyrbina.

W starej Nicei były kręte i wąskie uliczki. W uliczkach kłębił się krzyk rozbawionych dzieci, uciekały przede mną tłuste szczury i podchodziły do mnie skupione, chude i poważne koty. Koty ocierały się o moje nogi, a koło nas przebiegały dzikimi tabunami rozkrzyżowane bandy dzieci, i narobiwszy niesłychanego zgietku swymi butami o drewnianych podszewkach, przepadały w drugiej uliczce. Inne wypisywały na asfalcie brzydkie sentencje, a małe dziewczynki tańczyły parami w takt melodii wygrywanej na harmonijce, a tańcząc — naśladowały ruchy swych starszych siostr i braci, mocno nieskromne. Ulicami błąkał się zapach morza, słońca, między ludzkiej, przypalonej oliwy i woi dziwnych kwiatów podobnych do mimosy o „biało-niebieskim kolorze.

Coraz z płaszczyzny szarych ścian kamienic wynurzała się śliczna, lekka, renesansowa sylwetka kościoła. W kościołach była znowu cisza, stężała modlitwa całych pokoleń, zapach zgaszonych świec i zapach stare, brzydkie kobiety. Mężczyźni siedzieli pod ścianami ulicy, trzymali w kąciku ust odliniony niedopałek papierosa i patrzyli w zamysleniu na ogromne płachty komunistycznych afiszów. Ich dziadkowie i pradziadkowie modlili się jeszcze w tamtych kościołach w czas burzy, w czas morowego powietrza, wojny, napadu piratów, pożaru i w czas ucisku wielmoża z chateau nad miastem; dzisiaj modlił się do Maurice Thorez'a patrzącego na nich przymrużonymi oczyma z komunistycznego afisza na ścianie. Młodych dziewczyn nie spotykałem. Zeszły już bowiem dawno lekkim krokiem w dolinę, do nowej Nicei, cudne i wdzięczne, ubrane w powiewne szatki, pachnące, o pełnych ustach malowanych, o ogromnie czarnych oczach, niosące na drobnych dłoniach swe serca Amerykanom za czekoladę, za gumę do żucia i za dolary.

W Bolonii był mit Dąbrowskiego i mit żołnierza polskiego w czarnym berecie, byli potomkowie patrycjuszów, zębata blanki u kalendarz, wspomnienia lejących pod niebem bombowców, radość spotkania uśmiechniętego człowieka, dostojęństwo wieków, rubinowy blask wina w szklance i dobre słowo na drogę. A droga była znów długa i daleka, przypominająca wojażę prababek przemiennym dyszlem od miasteczka

do miasteczka, od karczmy do karczmy, po drogach bezludnych i po drogach zbójceckich. Koło dróg walał się rozbity sprzęt wojenny, a wzdłuż dróg snuły się gaje oliwne, w których brakowało tylko Mistrza i jego dwunastu Apostołów. Potem jeszcze była Ancona.

Znad morza, znad Adriatyku leciał iskłębiony wichur. Wichur był szary i zły. Wichur rwał morze na strzępy i ciskał o wysoką brzeg. Wichur leciał z chmurami na grzbiecie, chmury zaś były opęczniane chłodem, mrokiem i wspomnieniem bezgranicznie długich dni za drutami kołczastymi. Chmury pożarły słońce, a na ziemię sypał się szary popiół. Ancona była tak smutna i opuszczona, tak pełna duchów pobitych ludzi i tak pełna zawodzącego wichru, że jej smętku nie zdołał nawet rozgonić widok krajobrazu widziany z drogi do Monte Sicuro. Krajobraz był z obrazu Paola Veronese czy zgoła Botticelli'ego i jak na drodze do Ancony brakowało w przydrożnych gajach oliwnych Mistrza z dwunastoma Apostołami, tak tutaj brakowało Madonny z Dzieciątkiem Jezus.

A potem jeszcze były Apeniny. Droga wyniosła się zakosami pod rękłkie niebo, utonąła w chmurach i w śniegu, biegła zziębnięta przez ogromnie ubogie miasteczka bez nazwy, ludzie zaś chuchali w sine dłońie, zastaniali ręką twarzę przed śniegiem, sopte zwisały z dachów, samochody zślizgiwały się na okrajach przepaści, a szofer rozmawiał ze świętym Krzysztofem.

— Święty Krzysztofie, kupię ci świecę!... — mruzczał uparcie i naciskał ostrożnie pedał. A gdy pojawił się gwałtowny zakręt, a pod zakrętem ziała przepaść, samochód zaś zataczał się tyłem, szofer w czarnym berecie podwajał stawkę:

— Święty Krzysztofie, kupię ci dwie świece!...

Potem zlecieliśmy w dolinę jedną i drugą, aż nareszcie w dziesiątej odkryliśmy Rzym!...

Mój Boże, Rzym!...

I oto jestem w Rzymie, w moim Rzymie, w moim „home of spirit”, podobny znowu do tego barbarzyńcy z północy, który przed wiekami tutaj docierał i zdumiony wodził szarymi oczyma po onej niezłomnej zjawie, wyśnionej w zuchwałych snach zdobywcy. Lub podobny jestem raczej do pielgrzyma, pełnego pokory i cichej radości, co długo trudził się samotnymi drogami, aż oto stanął obłąkany wzruszeniem u Porta del Popolo.

Z Monte Pincio tylko patrzeć, jak spod sklepienia wynurzy się zdróżony pielgrzym, Adam Mickiewicz, co był zastąpił ze swego pomnika niedaleko Champs Elisees w Paryżu i tak, jak go widział Bourdelle, przejdzie przed moimi oczyma przez Piazza del Popolo, spojrz na obelisk, zamyśli się przez drobną chwilę i powędruje pod Kopułę św. Piotra, by w niej wysnuć słodki majak o Chrystusowej Polsce. I tylko pa-

trzeć, jak za nim przyjedzie w dyliżansie smętny Juliusz Słowacki, zatrzyma się również przy tamtym obelisku, a ipotem odejdzie pod Kopułę św. Piotra, by pod nią snuć dramat Kordiana. Kopuła św. Piotra zaś majaczy w opalowej mgłę i chociaż ją zasłania pinia na Monte Pincio, widzę jak wspiera niebo, które jest znowu tak błękitne, jak oczy dziewczyny w moich Beskidach.

Oty więc jestem w Rzymie i widzę, jak na Kapitolu wspina się na brązowym koniu brązowy Marek Aureliusz, pod nim zaś generał Dąbrowski przemawia do swych Legionów, a w Legionach do moich przodków, zwykłych „gemajnych”, chłopów z Cieszyńskiego. Na ulicach spotykam cesarów i tłumy papieży, Michałów Aniołów i Michała Archanioła, nad Tybrem widzę smukłe Madonny podobne do westchnienia dziecka, rzezane z białego drzewa lipowego, i pokorne święte Franciszki z Asyżu prawujące kazania do rybek u swych bojących stóp. Na rigach ulic pieką się kasztany, a w perspektywie Corso Umberto wynosi się ponad dachy marmurowy patos pomnika Wiktora Emanuela z roz-

podzonymi kwadrygami. Patos jest teatralny a kwadrygi, pragnące lecieć nad Wiecznym Miastem stężalym wichrem brązowym. Stąpam po stopniach do Santissima Trinita dei Monti jak po skamieniałym sonecie Petrarcki. Spotykam na ulicach prototypy Madonny Rafaela, „Madonny” zaś patrz na mnie dużymi, czarnymi oczyma i nuca piosenkę „O solo mio...”

Ponad Wiecznym Miastem szumią słoneczne wichry, a mnie się wydaje, że to wieki szumią i że w ich szumie błędzą duchy całych pokoleń ludzi tak pięknych i tak wspaniałych, że wzruszenie dech zapiera. Modlitwa szepkana w Rzymie, przybiera kształt renesansowej kolumny z białego marmuru, a westchnienie do Boga przemienia się w Kopułę św. Piotra. Kopuła zaś piętrzy się ponad miasto, wspiera niebo, a niebo jest tak bardzo błękitne i tak bardzo słoneczne, jak oczy dziewczyny w moich Beskidach śląskich. Niebo rozpina się renesansowa kopuła nade mną i nad moim „home of spirit”, a na jego szczytcie stoi Bóg, uśmiecha się łagodnie i patrzy na Wieczne Miasto — na mój Rzym.

Gustaw Morcinek

NOWE PISMA

W styczniu 1946 wyszedł pierwszy numer dwutygodnika „Mała Kronika” (wydawnictwo Oddziału Kultury i Prasy 2. Korpusu). Numer zawiera artykuły i feljtony pióra Rusiły, Lieberta, Olechowskiego, Bielatowicza, Górskiej i Toma. Uderza interesujące przemyslenie treści numeru pod kątem wszechstronnych zainteresowań czytelnika i bardzo udatna strona graficzna. Pełną wdzięku okładkę „betlejemską” projektowali Nowicki i Szomański. Dużo miejsca — i słusnie — poświęca „Mała Kronika” sportowi.

Nasze wydawnictwa emigracyjne wzbogaca również miesięcznik, magazyn literacki „Naokoło Świata”, wydawany w Rzymie przez Polski Czerwony Krzyż przy 2. Korpusie, redagowany przez Wandę Hoffmanową, znaną w Kraju redaktorkę „Ech Leśnych”. Zeszty pierwszy zamieszcza artykuły i utwory literackie Sienkiewicza, Kopnickiej, Reymonta, Nowakowskiego, Naglerowej, Fiedlera, Wahnouta, Siromengera oraz wspomnienia wojenne młodych piór: M. Pełczyńskiej i Woyciechowskiej. Poezję reprezentuje zawsze aktualny wiersz Ignacego Krasickiego „Przyjaciele” i wiersze Żywiny, Kociemskiego i Pawlikowskiej — Jasnorskiej. Okładkę magazynu projektowali znani graficy Z. i L. Haarowie.

POLSKIE AUDYCJE MUZYCZNE W RADIO RZYMSKIM

Staraniem Wydziału Dobrobytu Żołnierza w porozumieniu z Oddziałem Kultury i Prasy 2. Korpusu nadawać

będzie radiostacja rzymska cykl audycji muzycznych. Pierwsza taka audycja pt. „Wieczór muzyki polskiej” nadana została dnia 16 stycznia br. o godz. 22.45. Udział wzięli w niej nasza znakomita pianistka Hanna Kanelówna oraz popularny tenor Mieczysław Pręgowski przy kompaniamencie Alfreda Schuetza — kierownika tych audycji. W programie ballada g-moll i scherzo h-moll Chopina oraz pieśni Galla, Noskowskiego i Schuetza. W następnej audycji śpiewać będzie Paweł Prokopieni.

POSZUKIWANIA

Oleczakowa Wanda, z córkami Hanną i Aliną-Marią, po Powstaniu przebywały w Niemczech — Górlitz, Wohnlager, Reicherstr. 76. Wiadomość skierować na adres: Jerzy Lewandowski School of Military Engineering, Polish Engineering Wing CMP.

Jabłoński Ryszard „Góra” ur. 1919, W olifski Adam ur. 1924, Szeliński Zdzisław ur. 1924, Matuszewski Paweł ur. 1923. Wiadomości o nich kierować: School of Military Eng. Polish Wing CMP.

Gawlik Wojciech i Apollonia i ich dzieci: Jan (ost. w Toruniu), Alfred (ost. we Lwowie) Franciszek Józef (ost. w Przemyślu), Stefania (ost. we Lwowie lub w Zakościelu), Antonina Dulęba z Zakł. św. Józefa we Lwowie (ur. 1931 r.) Poszukuje syn i brat Stanisław Gawlik, 35 rue Burdeau, Lyon Rhone (France).

Carlo Magdalena poszukiwana przez Mariaszek Zdzisława, Polish Forces, C. M. F. 634, School of Military Engineering.

NIWINNE WYNALEZKI

A więc stało się! Gdy próbowałem zwlekać i w przeróżny sposób tłumaczyć opóźnienie — w milczeniu podsunęło ostatni numer „Ochotniczy”. Obiecałeś! Tak się musiał czuć mistrz Twardowski gdy zapoznawszy mądrą przestroję znanej sentencji o lekkości słowa, a trwałości napisów, pod lekkomyślną obietnicą położył swój podpis. Prawda, że tam tylko o duszę chodziło, a więc o rzecz stosunkowo bagatelną. Z drugiej strony wiemy z całą pewnością, że i z jej oddania ostatecznie się wykipił. Ale przecież dla nikogo nie jest tajemnicą z kim Twardowski miał do czynienia i cyrografy spisywał. A ja? Ech, co tu mówić! Trzeba pisać.

— Ale jest mi trochę przykro. I nie jest pociechą, że obok inny kolega, zerwawszy z fachem właściwym dla odmiany polityką się para (pisał tyle razy, to i teraz ani chybi napisze). Zazdrość mi tylko żółci ulewa, gdy patrzę, ile jemu pozwalają podczas gdy mnie — pięć stronnic maszynopisu i ani-ani! Żeby sonetem najpiękniejszym zakończył — obetną. A no, do astrologii ludziska zdawna mieli serce, a i kabałę zawsze chętnie kładli, więc cóż dziwnego, że w braku tamtych za polityką przepadają?

Lecz tak czy inaczej, spełnię żądanie Redakcji i obiecany artykuł napiszę. W ostateczności „sobie a muzom” (co nie jest zresztą bez pewnej racji, zważywszy gdzie i dla kogo). Przywołuję więc do porządku siedzącego we mnie gadułę i przystępuję po wojskowemu do powierzonego mi zadania. Temat na dzisiaj? Radar i penicilina. Wykonać!

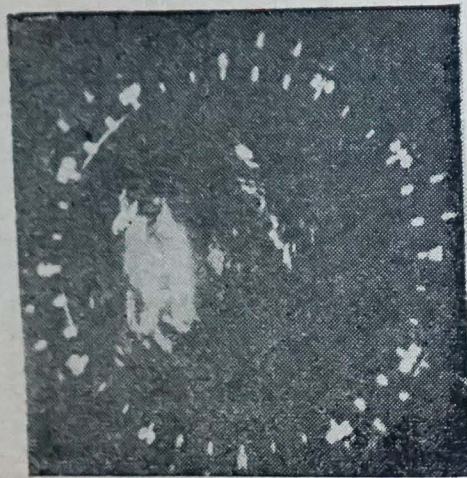
— Ale znów ten cywil nieznośny we mnie siedzący zadaje nie pozbawione sensu pytanie. Dlaczego właściwie radar i penicilina, co to ma jedno do drugiego? Że zaś najprostsze pytania to mają do siebie, że trudno na nie udzielić krótkiej odpowiedzi, muszę znów zrobić małą dygresję.

Spośród wszystkich wynalazków wojennych, którymi zamierzam po kolei się zająć (jest ich chyba z pół kopy), te dwa wybrałem na dzisiaj z przyczyn, powiedzmy, natury trochę romantycznej. Nie chcę wyliczać ilu naszym lotnikom czy marynarzom radar oszczędził życia, ilu z tamtego świata zawróciła znów penicilina. Powtóre, obydwie te wynalazki są jeszcze „niwinne” i nie służyły do bezpośredniego mordowania ludzi — (z radarem to trochę już idzie, tylko z peniciliną nie mogą jeszcze dać rady. Ale — cierpliwości!) W ten więc sposób (jedynie dla mnie możliwy) chciałbym wyrazić im swoje uznanie, stawiając je na czole długiego szeregu ludzkich osiągnięć, nie zawsze zresztą dobrze mających na celu.

Wzrost — radar. Skąd się bierze i co oznacza ta nazwa? Dzwonne słowo jest skrótem (zapropozowanym przez kapitana marynarki amerykańskiej — Tucker'a) — Radio Detection and Ranging. W Anglii początkowo

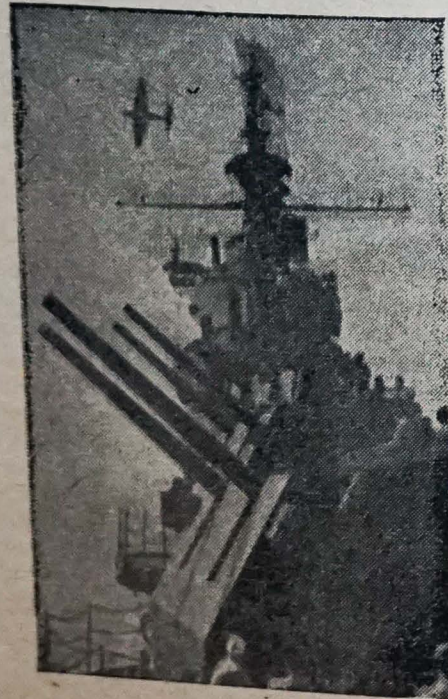
przyrząd ten nazywano „radio location”, później dopiero przyjęto termin amerykański.

Czym jest radar i jaka jest jego zasada? Jest to przyrząd do chwytania elektromagnetycznej fali odbitej od wykrywanego przedmiotu, przyrząd wysyłający „dźwięk” i notujący jego „echo”. Obrazowo mówiąc, gdy usta nasze krzykną, fala głosowa odbita od ściany np. lasu, powraca w postaci echa, a ucho nasze



Zdjęcie radarowe z samolotu; fragment inwazji ameryk. na Luzon

chwytają go i notują. Usta jako aparat wysyłający dźwięk i ucho notujące echo są takim samym „radarem” w dziedzinie akustyki falowej zwykłej,



Antena radarowa na okręcie amerykańskim

jak tamten w dziedzinie fal elektromagnetycznych.

A więc fala radarowa jest niczym innym jak elektromagnetyczną falą radiową wysyłaną przez zwykłą antenę. Przypominamy, że charakter i szybkość tej fali są prawie te same co i promieni świetlnych, a różnią się głównie długością. (Pro-

mienie świetlne mają częściowo charakter korpuskularny — fotony). Zachodzi pytanie, na czym polega zasadnicza różnica między normalnym przyrządem radiowym, a radarem, skoro promienie wysyłane są właściwie te same. Dla wytłumaczenia posłużymy się jeszcze raz przykładem z dziedziny akustyki zwykłej:

Gdy przed tą samą leśną ścianą będziemy mówić szybko, a zwłaszcza będąc głosem jednostajnym, powstaje echo w najlepszym wypadku będzie zamglone, niewyraźne. Gdy krzyknijemy ostro i krótko — echo powstanie czyste, wyraźne. Potrafimy zidentyfikować głos, a nawet zorientować się w odległości lasu, chociaż i w pierwszym i w drugim wypadku charakter fali i jej szybkość są te same. Podobnie i radar jest odmianą przyrządu radiowego, wysyłającego fale ostre, urywane. Drgania elektromagnetyczne, wywołujące powstanie fali, trwają milionowe ułamki sekundy, radar wysyła ich „tylko” tyśiące na sekundę, a więc przerwy są „olbrzymie” pozwalające fali dobiec do wykrywanego przedmiotu, odbić się od niego, powrócić i zanotować rezultat „wycieczki” bez zakłócenia falą następną, oraz posiadającego odpowiednio urządzenie dla ich chwytania i notowania (ekran telewizyjny). Na tym polega jedynie różnica.

Jak dotychczas, wygląda to nader zwyczaj prosto. I rzeczywiście zasada — jak zresztą we wszystkich najsławniejszych wynalazkach — jest łatwa. Decydujące jednak znaczenie dla praktycznego powodzenia posiadają szczegóły konstrukcyjne, i tu następują istotne różnice. Faktem jest, że konstrukcja anglo-amerykańska w praktyce okazała przewagę nad niemiecką i to pozwoliło na osiągnięcie sukcesów, usuwających w cień tę ostatnią.

Co daje i jak pracuje radar? Dzięki opisanej zasadzie działania, pozwala na dokładne określenie odległości wykrywanego przedmiotu od stacji i w przybliżeniu jego konturów (ostrość tych ostatnich zależy od materiału, z którego przedmiot jest zbudowany i szeregu dodatkowych czynników). Praca radarem odbywa się zespołowo; kilka stacji pracuje równocześnie, korygując wzajemnie swe wyniki i przekazując je centrali. Ta ostatnia określa ostatecznie pozycję wroga. „Naprowadzanie” tj. kierowanie własnym samolotem, którego każdorazowa pozycja jest określaną w analogiczny sposób, odbywa się przy pomocy radia zwykłego.

W jaki sposób można walczyć z radarem? — Słuchaniem fali i w konsekwencji zaciemnieniem obrazu przez wysyłanie fal o tej samej długości i co najmniej o tym samym natężeniu, z innego źródła. Sposób ten stosowany szerego i z dobrym rezultatem w działaniach

niach naziemnych i nawodnych, w powietrzu okazał się niecelowy. Błyskawiczne działanie samolotu, ciągła zmiana odległości, trudności instalacyjne wobec szczupłości miejsca sprawiły, że posługiwano się metodą bardziej prostą lecz również celową. „Osłepiano” przeciwnika przez wysypywanie z samolotu w odpowiedniej chwili wielkiej ilości płatków cynfolii. Fale odbite notowały na ekranie wroga obrazy fantastyczne, zamglone, uniemożliwiające zorientowanie się w odległości i pozycji samolotów własnych.

A zasługi praktyczne w wojnie ostatniej? Wiemy, że radar wygrał bitwę o Anglię, kierując angielskimi samolotami, i określając każdorazowo pozycje samolotów wroga. Wiemy, że pomagał przy tropieniu łodzi podwodnych, chronił okręty przed wzajemnym zderzeniem, przed skałami czy pływającymi lodowcami. Wiemy, że wspólnie z szeregiem innych osiągnięć technicznych, radar wygrał wojnę. Co jeszcze, przy wyszukiwaniu wszystkich jego własności, ludzkość osiągnie — niedaleka przyszłość pokaże.

Dziwić się tylko należy jakim sposobem wynalazek ten ukazał się stosunkowo tak późno, skoro przecież radio znane było przed laty. Nawet zasada radaru tj. zdolność odbijania fal elektromagnetycznych od przedmiotów stałych — wykryta została przez Henryka Herta już pod koniec ubiegłego wieku. Od tego czasu co kilka lat nauka notuje pewien postęp w tej dziedzinie. Faktem jest, że radar (bez tej nazwy oczywiście) był używany już przed wojną ostatnią do celów podobnych, jak np. na okrętach do wykrywania gór lodowych, przy artyleryjskich strzelaniach i t.d. Lecz „sławny” stał się dopiero od czasu bitwy o Anglię. Dalszy jego rozwój jest wynikiem systematycznych badań i pracy wielu bezimiennych uczonych i nie znamy nazwiska właściwego wynalazcy. Wynalazcą jest tu cała nauka współczesna, pod którą Hertz (w tym oczywiście dziale) podwaliny położył.

Przejdźmy teraz do peniciliny.

A więc przede wszystkim krótka historia. Prof. dr. Aleksander Fleming, hodując w laboratorium szpitala Santa Maria w Londynie kulturę stafilokoków, stwierdził w pewnym przypadku, że przestały się one rozmnażać, a następnie uległy całkowitemu zniszczeniu. Badając przyczyny tego zjawiska zauważył, że w naczyniu rozwinęła się pleśń specjalna znana pod nazwą Penicillium Notatum. Wiele spostrzegawczości i pracy musiał poświęcić profesor Fleming, nim stwierdził, że przyczyną zaniku hodowanych bakterii była nie pleśń sama, lecz jej wytwór wtórny, coś w rodzaju osocza. Osocze to, czy treść pleśni nazywał wynalazca peniciliną. A działało się to jeszcze w roku 1928.

Dalsze prace podjęto dopiero w r. 1938. Dr Howard Florey, profesor Uniwersytetu w Oksfordzie, rozwija badania dr Fleminga, idąc w kierunku wyodrębnienia więk-

szej ilości peniciliny. Pierwszy eksperyment całkowicie udany ma miejsce latem tegoż roku, dokonany na piętnastoletnim chłopcu z posuniętym zakażeniem krwi. Po kilku zastrzykach chory został całkowicie wyleczony. Do roku 1943 Florey i Cairns przestudowały 171 wypadków wszelkiego rodzaju ran i infekcji, stwierdzając, że po trzech do dwunastu dniach przy zastosowaniu peniciliny następowało całkowite wyleczenie. Rezultaty zostały ogłoszone i z tą chwilą reputacja peniciliny jest ustalona.

Czym jest penicilina? Proszek żółtawy, rozpuszczalny w wodzie, o odczynie kwaśnym. Posiada zdolność dawania soli. Działanie na pewne gatunki bakterii jest tak potężne, że roztwór 1/25 000.000 przecina całkowicie ich rozwój. Organizm ludzki eliminuje ją szybko, dlatego stosować ją trzeba dość często (zaszczyliki dożylnie, międzymięśniowe, opylanie). Stosuje się ją przy



Paracelsus (1540)

wszelkich infekcjach, ropieniach, chorobach wenerycznych. Wylizanie chorób i schorzeń, na które działa, jest zbyt obszerne i specjalne.

Jak działa penicilina? Podobnie do sulfamidów, z tą różnicą, że ten ostatni, atakując bakterie, niszczy równocześnie białe ciałka krwi, wobec których penicilina zachowuje się obojętnie. Działanie jej idzie w kierunku „izolowania” istniejących w danej chwili bakterii i całkowitego uniemożliwienia ich rozwoju. W tych warunkach białe ciałka krwi, których rolę w organizmie wykrył i wyjaśnił prof. Miecznikow (współczesny Pasteur'owi), „zalatwiają” się z nimi szybko i radykalnie.

Penicilina, posiadając tyle zalet i jednomyślnie zaliczona do preparatów najsławniejszych, której zawdzięczają życie tysiące żołdaków — posiada jedną wadę. Niecierzy — posiada jedną wadę. Niezmiernie trudno wyprodukować ją, a przez to jest niestychanie droga. Lecz miejmy nadzieję, że jeśli nawet nie uda się jej otrzymać syntetycznie, hodowla jej w najbliższych czasach przybierze takie rozmiary,

że błogostawione skutki jej działania przestaną być przywilejem tylko wybranych.

Na tym właściwie należałoby na dzisiaj skończyć, lecz, że Mazurem jestem uczniowym (spod Łowicza rodem), nie byłbym sobą, gdybym nie posiadał pewnego uporu, pewnej „metody w szaleństwie”. Dlatego więc na zakończenie, nie bez złośliwego uśmiechu, dam jeszcze raz wypis ze starych ksiąg, na przykład tym wszystkim, którzy historię ludzkości chcą gwałtem rozpocząć od... (by nikogo nie urazić) ślubu króla Faruka.

Otóż by zbytnio nie rozważniać tematu, żył w latach 1493-1541 lekarz wojskowy, podróżnik, uczony alchemik, a od 1526 r. profesor medycyny fizycznej (trudno, tak się to nazywało) w Bazylei, niejaki Theophrastus von Hohenheim, znany szeroko pod przybranym imieniem Paracelsus. Poza pracami w dziedzinie alchemii (utrzymywał np., że posiada kamień filozoficzny), słynął jako chirurg, za czarownika uważany na skutek cudownego leczenia beznadziejnych ran i schorzeń skóry. Napisał szereg dzieł specjalnych jak „De longa vita”, „De lapide philosophorum” i wreszcie „Archidoxia Magica”. W tej ostatniej, wydanej w Genewie w r. 1668, na str. 699 daje najprostsze w świecie tłumaczenie tych „czarodziejskich” praktyk w krótkim farmaceutycznym przepisie sporządzania maści na rany, opartej na bazie specjalnej pleśni hodowanej na czaszkach trupich (przecież to jest niemal jeszcze średniowiecze, więc czy mogło być inaczej?). Daje dokładne przepisy jak ją hodować, w jakiej temperaturze i wilgotności, wreszcie charakterystykę samej maści nazwanej Unguentum Armorum. Ma to być preparat niezwykle przyspieszający proces leczenia, przeciwdziałający wszelkim infekcjom krwi. Czulość jego ma być tak wielka, że działa nawet z odległości pół mili (powiedzmy, że trochę przesadzi). Pleśń ta ma leczyć wszelkie choroby weneryczne. Summa summarum — nie jest to nic innego jak prototyp peniciliny, a Paracelsus — pierwszym jej wynalazcą.

Tak, tak panie Protazy! I penicilina już była.

Int. Henryk Majewski

KOMUNIKAT STOWARZYSZENIA TECHNIKÓW POLSKICH

Stowarzyszenie Techników Polskich podaje do wiadomości, że organizuje w okresie między 18 lutym a 23 marca 1946 r. w Rzymie: Studium Techniczne składające się z 6 kursów tygodniowych (po 30 godzin wykładowych) w dziedzinach: chemicznej, budowlanej, (budowo, wodno, architekt.), mierniczym, mechanicznym, rolno-leśnym, elektrycznym.

Zarząd Stowarzyszenia uzyskał zgodę Dowódcy 2. Korpusu na urlopowanie słuchaczy i wykładowców na poszczególne kursy.

MIMIKRA

(Ochrona słabych i podstęp silnych w świecie zwierzęco-roślinnym)

Od najdawniejszych czasów istnienia wszelkiego życia na ziemi, trwała na niej nieubłagana walka o byt, z której wychodziły zwycięsko osobniki silniejsze, odporniejsze na niepomyślne warunki zewnętrzne.

Walka ta i obecnie nie straciła swego pierwotnego znaczenia, objawiając się wszędzie — zarówno w świecie zwierzęcym, jak i roślinnym.

Walka toczy się nie tylko o pokarm, nie tylko o zachowanie gatunku. W królestwie roślinnym walka ta jest dalej posunięta niż w państwie zwierząt. Świat zwierzęcy walczy o zachowanie gatunku i o pokarm; świat roślinny, walczy o to samo, musi ponadto zmagać się o miejsce i światło.

Osobniki, które nie wytrzymują nierównej walki — giną.

Natura jednak częściej staje po stronie słabszego, umożliwiając mu przetrwanie. Gdy na przykład pewne gatunki są obdarzone siłą, gatunki fizycznie słabsze mają możliwość chronienia się przez cały szereg innych cech, których są pozbawieni ich wrogowie. Do tych uprzywilejowanych cech należą: szybkość biegu lub lotu, wybitna czujność, ostry wzrok i wreszcie zdolność nadsładowania swym ciałem otoczenia, przez co taki osobnik staje się niewidoczny.

Ale w świecie roślinno-zwierzęcym są inne dość liczne wypadki, kiedy natura bierze stronę silniejszych, ułatwiając im podstęp dzięki posiadaniu jednej lub kilku z cech powyższych.

To ciekawe zjawisko, zwane mimikrą, obejmuje nie tylko faunę lądową, ale i morską, obejmuje również — chociaż rzadziej — florę naziemną i wodną.

Najdoskonalsza istota świata — człowiek, ma też swoją „mimikrę”. W naszym języku nazywa się ona koniunkturalizmem, który cechuje ludzi słabszych lub podstępnych. (Tutaj widzimy zupełną analogię ze światem zwierzęco-roślinnym.)

W obecnych czasach ta „mimikra” ludzka jest wielkim utrapieniem świata i służy jako niezłomny dowód upadku morale współczesnej ludzkości.

Pojęcie „przystosowania się” do otoczenia świata organicznego wiąże się ze słynną teorią angielskiego uczonego Karola Darwina (1809—1882), który w roku 1859 opublikował swoje fundamentalne dzieło pt. „On the origin of species by means of natural selection”.

Przesłankami do darwinowskiego „Pochodzenia gatunków pod wpływem selekcji naturalnej” były wieloletnie jego obserwacje o charakterze następującym:

- 1) Ścisłe zbliznięcie do siebie gatunków na terytorium Ameryki Południowej w kierunku od północy do południa.
- 2) Ścisłe pokrewieństwo form, zamieszkujących wyspy w sąsiedztwie Ameryki Południowej, z formami na kontynencie amerykańskim.
- 3) Rozmaitość gatunków zamieszkujących wyspy mało oddalone od siebie w rejonie archipelagu Galapagos (około Peru).

4) Powinowactwo między bezzębnymi ssakami żyjącymi a obumarłymi, znalezionymi w wykopaliskach Pampasów.

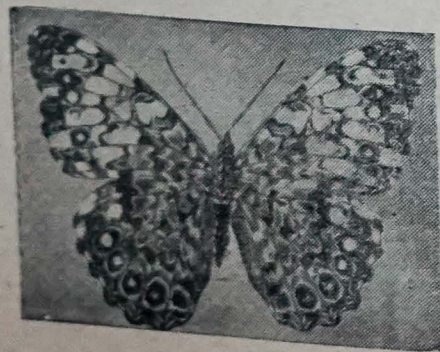
Budując swoją teorię, Darwin wykorzystał pracę Malthusa „O problemach zaludnienia”, która mówi o współzawodnictwie pochodzącym z przyrostu ludności (w progresji geometrycznej). Malthus wówczas mówił, że ten przyrost jest źródłem nędzy i fizycznego wyradzania się ludzi niezdolnych i słabych, a podstępem — pozostałych.



Motyl Kallima, siedząc na gałązce (na prawo), imituje liść

Darwin, łącząc te konkluzje Malthusa z wnioskami ze swych obserwacji, rozszerzył je na cały świat żyjący...

Jak hodowca posługuje się selekcją sztuczną dla swych celów, tak przyroda wykorzystuje selekcję naturalną. Selekcja naturalna wychodzi na korzyść osobnikom więcej



Motyl z Ameryki centralnej którego instynkt zmusza do siadania na szarym kolorze kory i szarych obramowaniach, gdyż kolor motyla jest szaro-marmurkowy

od innych zdolnym do życia i mnożenia się w swoim otoczeniu.

W selekcji naturalnej decyduje walka o byt, której podstawa jest zdolność przystosowania się do zmiennych warunków otoczenia.

Jest to kamień węgielny rozważań Darwina, z których wypływa jego znakomita teoria, znana w nauce pod mianem D a r w i n i z m u.

Selekcja naturalna różni się od sztucznej tym, że ostatnia ma na celu korzyść człowieka, podczas gdy naturalna w swoim wyniku daje korzyść gatunkom.

Selekcja sztuczna wybiera rozmyślnie warianty najbardziej korzystne w celu ich reprodukcji, natomiast selekcja naturalna nie może tego uczynić i ogranicza się jedynie do wyeliminowania osobników mniej korzystnych, pozostawiając inne na łasce okoliczności przypadkowych.

Zasada mimikry polega na ubarwieniu osobników, które dzięki temu bardziej się upodabniają do otoczenia, utrudniając wykrycie słabych; o wiele rzadziej ułatwiają podstęp silnych. W wypadku pierwszym nazywa się ona mimikrą ochronną, w wypadku drugim — mimikrą agresywną.

Jeżeli weźmiemy zwierzęta klimatu gorącego, zwłaszcza płazy, zaobserwujemy, że w ich ciele dominują kolory szaro-piaszczysto-czerwone. Inne istoty, zazwyczaj znajdujące się na roślinach, mają zieloną barwę swej powłoki cielesnej.

We Włoszech w dużej ilości spotykamy owady Baccilus Rossi (po polsku zwane konarkami albo patyczkami) bardzo przypominające swym kształtem i barwą gałązkę.

Zdolność przystosowania się do otoczenia jest wybitnie zaznaczona w królestwie motyli. Wiadomo, że odwrotna strona skrzydeł wielu motyli bardzo przypomina swym kolorem korę drzewa, a w klimacie gorącym — liści. Kolory chronią motyle przez czas ich odpoczynku, bo ptaki owadożerne, przelatując nad siedzącym motylem, nie łatwo mogą go zauważyć.

Wśród motyli dziennych w dorzeczu Amazonki, a zarówno na Madagaskarze, spotyka się pewne osobniki np. Kallima, które siedząc na gałązce ze złożonymi skrzydełkami o kolorze zielonym z odwrotnej ich strony, ze specjalnym wydłużonym głównym unerwieniem skrzydełka, do złudzenia przypominają liść i jego szypułkę. Przypominają nie tylko kolorem, ale i kształtem. Więć nie dziwnym się, że żaden ptak takiego motyla nie dostrzeże, o ile nie otworzy on skrzydeł.

Ten sam motyl w locie zadziwia nas piękną grą barw górnej strony swych skrzydeł. Gdy zaś usiadzie i złoży skrzydełka, zmienia tak swój wygląd, że wydaje się nam, iż znikł.

Ze zjawiskiem tym spotykamy się i w faunie morskiej u niższych zwierząt zwanych skorupiakami. Na grzbietach niektórych z nich osiadają rozmaite twory zwierzęce i roślinne, pozostające w współzawodnictwie z ciałem swego gospodarza, maskując go jednocześnie wśród otoczenia, w którym najczęściej przebywa.

Niektóre ryby morskie z gatunków bezłuskowych (do pewnego stopnia i łaby wodne) mają własność zmiany koloru swej skóry, gdy zmieniają otoczenie, lub dotykają dna.

Zjawisko zmiany koloru skóry tłumaczy się kurczeniem lub rozciąganiem się jej komórek barwikowych. Tymi ciałami barwikowymi są chromatofory — ciałka o kolorze czarnym, żółtym i czerwonym. Ruch chromatoforów i ich kombinacje w komórkach zależą od intensywności światła i wrażeń wzrokowych.

Ryba oslepiona nie zmienia koloru, chociaż posiada chromatofory i jest zdolna do zmiany barwy.

Największą aktywnością chromatyczną wśród zwierząt wyższych odznaczają się gady — zwłaszcza kameleon, wśród zwierząt niższych — mięczaki.

Trzeba tu powiedzieć, że kameleon ma jedną bardzo ciekawą właściwość: — czuje wstręt do koloru czerwonego, którego

organicznie nie znosi i który tak mu szkodzi, że po dłuższym pobycie na takim tle, zwierzę choruje. Pod Ismailią (Egipt) widziałem młodego kameleona, którego Arab zmuszał pozostawać kolejno na czarnej, brązowej, zielonej i czerwonej płacie. Zwierzę zachowywało się zupełnie spokojnie na wszystkich tych podłożach, gdy zaś Arab przeprosił je na czerwone — momentalnie uciekało, mimo dostawianych „klapsów”.

W świecie owadów, poza motylami, też spotykamy ciekawe, chociaż mniej zrozumiałe przykłady mimikry. Mianowicie według badań niemieckiego zoologa, ks. Wasmanna, zaobserwowano, że do mrówek podziemnych wchodziły inne owady, nie wspólnego nie mające z mrówkami. Mrówki, które odznaczają się szeroko

„specjalizacją” życia i zazdrośnie strzegą układu domowego, dopuszczały nieproszonych gości w swe apartamenty, pozwalając im tam żyć i...nie pracować.

Zjawisko powyższe Wasmann tłumaczył mimikrą, polegającą w tym wypadku na podobieństwie tych owadów do mrówek, przynajmniej jeśli chodzi o ruchy i inne czynności.

Walka o byt, o życie i bezpieczeństwo, obserwowana w przyrodzie, posługuje się wielorakimi metodami. Są one wzorem dla wynalazczości człowieka. Nowoczesna wojna zaczerpnęła z tych wzorów obficie. Czymże bowiem jest „kamufaż”, jak nie... mimikry?

Inż. W. Jegerow

ZGON MISS E. RATHBONE PRZYJACIÓŁKI POLSKI

2 stycznia zmarła w Londynie w wieku lat 73 wybitna i zasłużona działaczka ruchu kobiecego w Anglii Miss Eleanor Rathbone.

Rodem z Liverpoolu — pochodziła ona z rodziny, która w kronikach tego miasta od wielu już pokoleń chlubnie zapisała się zasługami jej przodków. Ojciec, William Rathbone, jeden z założycieli Uniwersytetu w Liverpool, był przez długie lata członkiem Izby Gmin. Pamiętniki jego działalności spisała córka (1904).

Od wczesnych lat budzi się w niej po ojcu i dziadach duchem odziedziczony żywy zmysł społeczny i potrzeba działania. Toteż pierwsze kroki po ukończeniu studiów w Kensington, Liverpoolu i Oxfordzie — to gruntowne badanie warunków życia i pracy robotników portowych w dokach rodzinnego Liverpoolu oraz skuteczne starania o utworzenie na Uniwersytecie w Liverpoolu Wydziału Nauk Społecznych, gdzie sama wkrótce obejmuje wykłady, biorąc też udział w pracach senatu akademickiego.

Weześnie ustala sobie Miss Rathbone te idee, którym poświęci odtąd cały swój zapał, wszystkie wiedzę, energię i po prostu całe swe życie: będzie to walka o prawa kobiet oraz o opiekę nad rodziną i dzieckiem. Walkę swą prowadzi nie tylko na drodze niestrudzonej działalności w szrankach istniejących organizacji — lecz także i piórem, wycieczając nim odważnie swe cele i jedną c im coraz szersze zrozumienie w społeczeństwie. Z księżką jej pióra najważniejsze to:

„Wydziedziczona rodzina” (1924), „Misanotaur Indii: małżeństwo dzieci” (1934) oraz „Sprawa zasiłku dla rodzin” (1940).

W działalności politycznej największe jej zasługi i osiągnięcia to walka o równouprawnienie kobiet, którą prowadzi, piastując przez lat 10 stanowisko przewodniczącej „Narodowego Związku Stowarzyszeń Równości Obywatelstwa” (1919-1929). Ona to również jest główną

pomocą dla ginącej z głodu i zimna ludności Europy.

Nie należąc do żadnej partii politycznej — wybrana w r. 1929 na przedstawicielkę połączonych uniwersytetów angielskich w parlamencie — broni wymownie niezależności i konieczności utrzymania tego mandatu w Izbie Gmin, dowodząc, iż poseł połączonych uniwersytetów powinien zachować żadnymi więzami partyjnymi nieskrępowaną swobodę głosu i myśli we wszelkich sprawach kultury.

Piastując ten szacowny mandat bez przerwy od r. 1929 przez lat 16, Miss Rathbone sprawowała go w myśl tej właśnie niezłomnej zasady. Natchnieniem wszystkich jej mów i wystąpień był gorący patriotyzm i męstwo w obronie pokrzywdzonych lub upośledzonych. Walka jej — promieniowała zawsze wiarą w powodzenie i wzrost ludzkiej sprawiedliwości. Była też ona jej prawdziwą krzewicielką — pokorną i niestrudzoną orędowniczką sprawiedliwości społecznej. Nie miała wrogów — otaczał ją poważny mjr i szacunek — toteż na zgon jej chylił się przed nią w Anglii wszystkie czola, a pisma wszystkich odcieni oddają jej hold jednomyślny.

My Polacy łączymy się z tym hołdem — zegnając z zalem prawdziwą przyjaciółkę i sojuszniczkę sprawy polskiej, która niejednokrotnie — i w Izbie Gmin i w prasie angielskiej stawiała w obronie naszego prawa do wolności i niepodległości, a ostatnio miała też odwagę głosić prawdę o niewoli naszego Kraju pod okupacją sowiecką i nie wahała się przeciw swym autorytetem znanych przestrog generała Andersa co do istotnej sytuacji w Polsce.



inicjatorką ustawy o pensjach wdowich, ustawy o nadzorze i opiece nad niemożliwymi, a wreszcie uchwalonej ostatnio w r. 1945 ustawy o zasiłkach dla rodzin, — które wkrótce już mają być wypłacane.

Suche tytuły tych ustaw — to tylko nazwy i miary dzieł spełnionych, lecz nie granice duszy Eleanor Rathbone i jej działalności społecznej. W latach wojny 1914-1918 organizuje ona „Zrzeszenie Rodzin Żołnierzy i Marynarzy”. Ostatnio zaś rozwijała ona żywą działalność w kierunku zainteresowania rządu brytyjskiego „zaniepokojeniem



Jan Matejko; Fragment z obrazu „Stefan Batory pod Pskowem“

JAN MATEJKO

Paradoksem może się wydawać twierdzenie, że malarz, którego imię i dzieła zna każde dziecko w kraju, jest jednym z najbardziej niedocenianych i nierozumianych twórców w naszych kołach artystycznych. Jest to tym dziwniejsze, że nie było chyba indywidualności w naszej sztuce, której działalność wywołała w gronie fachowców (i niefachowców) więcej namiętnych dyskusyj, więcej kontrowersyj, więcej zachwytów i potępień, i więcej... nieporozumień. I chociaż minęło przeszło pół wieku od śmierci twórcy „Hołdu Pruskiego” — nie zanosi się na zaktualizowanie „problemu matejkowskiego”.

Czyż już to nie jest pośrednim dowodem, jak potężne i odrębne w swojej dziedzinie było u nas zjawisko, któremu na imię: Jan Matejko. Pisano o nim bardzo wiele. Z prac obszerniejszych o Matejku najbardziej wyczerpujące jest dzieło Mieczysława Tretera, najlepszą — chyba i dziś została — książką Stanisława Witkiewicza (1908). Ale ta osamnia, będąc sama przez się wybitnym dziełem sztuki pisarskiej, nie może już, po trzydziestu kilku latach, czynić zadość dzisiejszym

wymaganiom krytyki: jest zbyt jednostronna.

Po przeczytaniu wszystkiego, jeżeli to możliwe, co napisano o Matejku, po wysłuchaniu niezliczonych drugodzących wypowiedzi o nim nawet tegich malarzy dzisiejszych i po rozważeniu również mnogich peanów pochwalnych wielbicieli twórcy „Batorego pod Pskowem” — zrobimy eksperyment myślowy, który nam umożliwi ogarnięcie czynu Matejki...

Wyobrażamy sobie olbrzymią salę, salę o stumetrowej długości, trzydziesto metrowej szerokości, piętnasto metrowej wysokości, o ścianach szaro wytynkowanych. Światło niech pada z góry. Na murach tej gigantycznej komnaty są umieszczone w szeregu, w odstępach kilkumetrowych, według kolejności ich powstania — wielkie obrazy matejkowskie. A więc: Kazanie Skargi (1864); Rejtan (1866); Unja Lubelska (1869); Batory (1872); Grunwald (1878); Hołd pruski (1882); Sobieski pod Wiedniem (1883); Joanna d'Arc (1886); Kościuszko pod Racławicami (1888); Konstytucja 3 Maja (1892); Śluby Jana Kazimierza (1892).

Jest to pas środkowy na ścianach

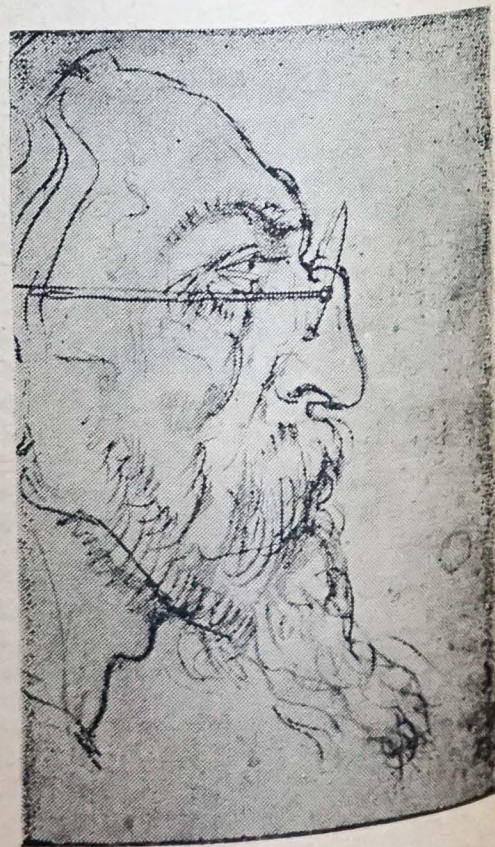
naszej sali. Wyżej zapewnimy drug szlak obrazami średnimi, jak: Otrucie Bony; Jan Kazimierz na Bielanach; Stańczyk; Uczta u Wierzyńska; Maćko Borkowic; Wernyhora; Śmierć Warneńczyka; Kopernik; Zamojski pod Byczyną; Dzwon Zygmunta... Będzie tych pozycji kilka dziesiątków.

Trzeci pas, powyżej dwu poprzednich, utworzy kilkadziesiąt portretów matejkowskich (wśród nich przepyszny portret czworga dzieci artysty, autoportret, portrety profesorów Wszechnicy Jagiellońskiej z Szujskim, Tarnowskim, Dietlem; portret „Kasztelanki” — jeden z najlepszych).

Na czwarty szlak, jeszcze wyższy, złożą się również dziesiątki małych obrazów, jak na przykład Kochanowski u zwłok Urszulki; Lokietek zrywający ugodę z Krzyżakami; Wit Stwos; Śmierć Leszka Białego; Wyrok na artystę... U góry znajdują się kartony do polichromii kościoła Mariackiego; musimy tu też znaleźć miejsce na szereg obrazów z cyklu „Dzieje cywilizacji w Polsce”.

Wysoki na kilka metrów pas pod szlakiem wielkich obrazów zajmą setki rysunków, setki studiów matejkowskich, wśród nich także cykle jak poczet królów polskich rysowanych węglem (i jak rysowanych!), jak rysunki do dziejów ubiorów w Polsce, jak kartony dla politechniki lwowskiej; nieprzebrane bogactwo studiów, ruchów, postaci ludzkich, głów, rąk, fragmentów ubiorów, zbroi, wyciągów rysunkowych z monet, pieczęci rysunkowej architektury, mebli, pejzaży...

I oto, dla zamknięcia wizji, umieścimy pośrodku pomyślanego mauzoleum prac gigantycznych — ich twórcę, małego, wątłego człowieka, z zapadniętą klatką piersiową, z krótkowzrocznymi oczami za okularami, tkwiącymi na garbatym nosie



Jan Matejko; Portret własny (rys. ołówkiem)

z siwiejącymi długimi włosami zwierzchną brodą... Człowiek i dzieło... Żył ten tytan pracy tylko 55 lat (1838-1893).

Ale wizja tego dzieła musi być uzupełniona komentarzem. Istnieli w różnych krajach w wieku XIX tak zwani malarze historyczni o dorobku ilościowym prawie zbliżającym się do matejkowskiego. We Francji Delaroche, w Niemczech Kaulbach, Cornelius, Pilloty. Stworzyli oni, podobnie jak Matejko, tysiące figur, upstrzonych szczegółami, umieszczonych w tłach równie przepięknych akcesoriami. I nie dziwimy się, patrząc na ich obrazy, że właśnie mogli je namalować; — to płody upartej akademickiej, pedantycznej pracowitości, nudne, banalne, mniej lub więcej konwencjonalne, mniej lub więcej zręczne.

Porównywanie ich dzieła z czynem matejkowskim dowodzi najpoważniejszej obserwacji. Wizja naszego pomyślanego mauzoleum nabiera właściwych proporcji wtedy dopiero, gdy stwierdzimy cechy poniższe w twórczości Matejki. Rozsądza on swoje obrazy niezliczoną ilością niepotrzebnych szczegółów — to prawda. Ale te szczegóły nie rodzą się z tępej pedanterii. Są one wyrazem jego pasji przepychu i jego pierwotnej, zacieklej nieokietzanej tęsknoty do realizowania tego przepychu we własnym dziele. Ale przede wszystkim jest rzeczą wprost bezprzykładną w dziejach malarstwa, aby twórca, plawiący się w rozkoszy realistycznego odtwarzania najdrobniejszych szczegółów, np. na zbroi rycerza, który w furji bitewnej druzgocę przeciwnika — nie zatracił równocześnie całej świeżości, całej potęgi ruchu swej pierwotnej wizji.

Matejko, mistrz ruchu, mimo analitycznej metody pracy, jest równocześnie jednym z największych realizatorów wyrazu twarzy ludzkiej w malarstwie wszystkich czasów. Twarze „Kazania Skargi” (Król, Possewin, Moskale), twarze „Hołdu Pruskiego” (Zygmunt Stary, Stańczyk)!

Rozkazodawca siła wizjonerska Matejki jest przytłaczająca. „Niepodobny” — powiedzielibyśmy zapewne, gdyby stanął przed nami zmarłych wstąpił Batory, lub Zygmunt I. lub Skarga, lub Zamojski. Potrafimy bowiem widzieć te postacie oczami wyobraźni tylko tak, jak nam właśnie widzieć rozkazał Matejko. Czyż da się coś podobnego powiedzieć o jakimkolwiek innym „historycznym” malarzu europejskim?

Oto poważne zarzuty stawiane Matejce przez krytyków:

1. Brak artystycznego umiaru; przeciążenie kompozycji szczegółami, rozbijającym ją całość.
2. Brak poczucia koloru, „socy walorowe”.
3. Zatrata sensu plastycznego obrazu na rzecz problemów literackich i dydaktycznych.

W wielkiej mierze zarzuty te są słuszne. A mimo to pozostaje Matejko najpotężniejszym plastykiem w



Jan Matejko; „Maćko Borkowic“ (szkło, 1873)

naszej sztuce i, moim zdaniem, jedną z najpotężniejszych indywidualności w sztuce europejskiej.

Podobnie: sykstyński plafon jest jednym z najpotężniejszych osiągnięć w sztuce wszystkich czasów, mimo że można postawić słuszne zarzuty wartościom malarstwu tego dzieła Michała Anioła (kolor!) i kompozycyjnemu (nie malarstwu interpretacja, ale imitacja architektury).

Istnieją dzieła potężne, mimo zasadniczych wad; i odwrotnie: istnieją dzieła niepotężne — bez wad. Czyż nie jest potwierdzeniem tej wypowiedzi opinia krytyka francuskiego Fourcaul'a w „Les Gaulois” z 30. 5. 1880, z okazji wystawienia „Grunwaldu” w Paryżu. „Dzieło to zbija z tropu, zdumiewa, oślepia, odpycha, przyciąga, staje przed widzem jako problem, albo raczej jako konflikt problemów, całkowicie człowieka pochłaniających; ono jest dziełem, pełne furii, jest heretyczne i demoniczne zarazem. Nie jest to, jeśli wolno się tak wyrazić, produkt geniuszu rasy łacińskiej, tym mniej germańskiej. Nie ma w nim nic opanowanego, spokojnego... Malarz zadaje widzowi tyle olśniewających rąw koloru, ile ciósów mieczem wymierzają sobie jego bohaterowie”

Witkiewicz w tym sensie kończy swoją książkę o Matejku: „Miał on liczne wady, których unikają średnie

nawet talenty, miał jedną zasadniczą zaletę: tworzył arcydzieła”. — Zmieniając ostatnie słowo tego zdania na „dzieła potężne” — usłyszymy chyba najprawdliwszy sąd o Matejce.

Wygłosiłem przed wojną odczyt pod prowokacyjnym tytułem: „Największy ekspresjonista polski — Jan Matejko”. Jeśli określenie: „ekspresjonizm” nadamy nie kierunkowi w sztuce, który taką właśnie otrzymał nazwę około roku 1910, ale zasadniczej dyspozycji twórcy do podporządkowywania i przekształcania form wypowiedzianych w myśl subiektywnych pasji i stanów uczuciowych — twórczość Matejki jest par excellence „ekspresjonistyczna”. Że wspomnę tu rysunek konia pod Wielkim Mistrzem w „Grunwaldzie”, rysunek rozsadzony ponad wszelkie formy realistyczne pod dyktando afektu twórczego.

Ta właśnie cecha w twórczości Matejki jest zupełnie niedoceniana przez naszych dzisiejszych plastyków i krytyków, a właśnie ona wyodrębnia Matejkę spośród licznej plejady tzw. malarzy historycznych w wieku XIX i daje jego wypowiedziom akcenty znamienne dla sztuki współczesnej, akcenty, które muszą być kiedyś ocenione jako wartości nieprzemijające.

Marian Bohusz-Szyszko

„Nasze granice w Monte Cassino” to znak trzeciego etapu drogi, którą poezja i żołnierz 2. Korpusu kroczą wytrwale ku wolności. Nie pierwszy to raz w dziejach polskiej poezji i polskich walców o niepodległość dwoje tych towarzyszy kroczy ramię przy ramieniu. Nie o innego tylko pieśń żołnierska właśnie została uświęcona do godności hymnu narodowego. Jej zawołanie jest do dziś poetyckim rzutem celów i natchnieniem polskiego żołnierza — tak samo jak dla pokolenia, które ją zrodziło. Powołanie patronatu Pieśni Legionów dla antologii współczesnej „Poezji walki” jest jeszcze jednym stwierdzeniem naszego duchowego synostwa wobec starych wiarusów Dąbrowskiego. Oni to złożyli fundamenty ideowej konstytucji Polski Walczącej, która obowiązuje nas i dziś. Jak przed wiekiem, tak i dziś Polacy biją się nie tylko „o granice swojej Ojczyzny, ale i o granice ducha” (Lechoń). Walczą o wolność swego ojczystego zagonu, ale także o wolność wiary, o światłe myśli — nie tylko własnego narodu.

Antologia obecna jest trzecią podobnego typu publikacją na szlaku marszowym 2. Korpusu. „Poezja Karpacza” stanowi odpowiednik pierwszego etapu tej drogi, „Azja i Afryka” obrazuje akt drugi, „Nasze Granice” wreszcie wieńczą pracę bojową Korpusu na terenie Italii. Poprzedzający antologię szkic Jana Bielatowicza o wojennej poezji polskiej z konieczności w obecnych warunkach niekompletny, jest pierwszą na przestrzeni ostatnich lat próbą rozleglejszego ujęcia tematu. Wystawia on świadectwo prawdziwej pasji bibliograficznej autora, a także jego krytycznej sumiennosci oraz umiejętności popularnego przedstawiania zjawisk literackich.

Wybór wierszy dokonany został pod kątem założeń ideowych, jakie przywlecą autorowi w zestawianiu antologii. Nawiązując do fronda polskiej walki o niepodległość, ukazuje antologia dzisiejsze tej walki oblicze. Przerzucając karty tego sporu, nie należy zapominać o zaszczeniu autora, że dobór wierszy, dokonany według kryterium natury ideowej, spowodować musiał pewne zniekształcenie sylwetek artystycznych poszczególnych poetów. Dotyczy to w największej mierze Józefa Żywina, które w antologii wyszedł jako nostalgicznie, tracąc wiele ze swej różnorodności; najlepiej może wypadł Kobrzyński, stanowiąc podsumowanie dorobku zwartego ideowo zespołu, antologia kusy, wprost do spojrzenia na tę sumę osiągnięć jako na pewną całość. Spośród większych śro-

wisk literackich poza Krajem poeci 2. Korpusu wyróżniają się swoistością oblicza duchowego, ugruntowanego przede wszystkim na jednorodności tematycznej. Specyficzny koloryt, który wyróżnia ich jako grupę odrębną, to przede wszystkim wspólny klimat duchowy, jednakże zakres przeżyć, stanowiących surowiec poetycki. Ta poezja jest rzeczywiście dość pełnym zwierciadłem duszy walczącego żołnierza.

Tematem ich utworów jest walka — pojęta zarówno jako dążenie narodu do uzyskania wolności, jak i ukazana w realnym przebiegu zdarzeń frontowych. To nadaje im piętno prawdy, ale powoduje także pewne zacieśnienie pola widzenia, a kryć może w sobie na przyszłość pewne niebezpieczeństwa. Jezeli troska o autentyczność wrażeń i reakcji duchowych do tego stopnia wy-



suwa się na plan pierwszy, że gubi w swym ostrym blasku staranność o kształt poetycki tej prawdy, to nie dziw, że czytelnik może ją mierzyć miarą najwyższą, czy mianowicie potrafi — sprostać historii.

Poeci 2. Korpusu to w większości ludzie młodzi, których dojrzałość życiowa i artystyczna dokonywała się w wojennym zgiełku. Ma to swoje konsekwencje: dojrzewając w podobnych warunkach, osiągnęły tę prężność ideową, która sama przez się stanowi osiągnięcie poważne. Ale równocześnie — dojrzewając jako twórcy w warunkach na wskroś nie sprzyjających, nie zdołali dojść do tej pełni wyrazu artystycznego, którą osiąga się w ogniu walk w służbie Apolina raczej niż Marsa. Ciśnienie faktów, zdarzeń, przeżyć i wrażeń niespodzianych jest zbyt wielkie, aby mogli zdobyć się na tę odskocznię, która pozwala widzieć rzeczywistość oczyszczoną niejako z miazmy codzienności, odbarwioną

może z jej mieniającego się blasku, ale za to kotłowaną skrzydłem wieczności. Spośród poetów objętych antologią jeden może Kobrzyński potrafił oderwać się na tyle od natłoku zdarzeń aktualnych, by sprawy wielkie dostrzegać poprzez drobne fakty pozabawione na pozór wagi. A także — czasami — Tadeusz Sowicki, który ze swej nerwowej strofy umie wydobyć akcenty przemijające, choć zbyt może strojne w artystowskie efekty i jakby wyuczone.

Przeznaczeniem naszego pokolenia jest codzienność, składająca się z samych najwyższych spięć dramatycznych, z poranków i godzin południa, godnych greckiej tragedii. Przeznaczeniem tego pokolenia poetów jest brodzić po kolana w faktach historycznych, z których każdy mógłby być tematem eposu. Ale historia — i to właśnie ta najbardziej dramatyczna — jest powietrzem zbyt ostrym na codzienność. Oswojeni ze zdarzeniami na miarę największą, straciliśmy już wrażliwość na jej heroiczny patos, na prostą i surową jej wielkość, zagubioną w tysiącu słów gładkich i uwodzących. Zadaniem jest poezji ścierać z historii pył codzienności. Zapuszczając spojrzenie w głąb zdarzeń, utrwalając godziny niezwykle, wylawiając z powodzi chwil momenty najdonioślejsze, obiektywizując przeżycia jednostkowe, rzutuje poezja w wyobraźnię zbiorowej zarzys burzliwych fal historii. Ale powiedzieć trzeba wyraźnie, że choćby z arsenału swych środków dobytą dziś słów największych, nie jest w stanie nadażyć za rzeczywistością aktualną, która umyka się wszelkim określeniom. Toteż przeznaczeniem jej jest być raczej notatnikiem wrażeń, niż sztuką w pełni dojrzałą, wielką nie przez monumentalność tematyki, ale przez monumentalizm formy, który oznacza nie co innego jak prostotę, ale bogatą w doświadczenia poprzedników i własnych twórczych poszukiwań. Może najwyższej z olbrzymiego bloku rzeczywistości tości wyrwać drobne okruchy i czanem swego magicznego działania zamienić je w kwiaty. Aby te kwiaty ubarwiły każdy odcinek naszego pola widzenia: naszej wiary, naszego marzenia o Polsce wielkiej, mocno osadzonej wśród narodów świata, urzędzonej według podstawowych praw ludzkiego sumienia, wypracowanych przez wieki kultury chrześcijańskiej, musi się nurt historii ucpokoić nieco, wypreżrzyć jak kryształ, by mogła się w nim odbijać nie tylko łuna pożarów, ale i najdelikatniejsza różowość światła.

Paweł Jaruga

Do numeru niniejszego dołączamy Kalendarz „Ochotniczki” na rok 1946

„ORŁA BIAŁEGO”

1. WARUNKI KONKURSU

Redakcja „Orła Białego” ogłasza konkurs — ankietę z nagrodami na temat:

„Która z wydanych przez Bibliotekę „Orła Białego” książek podobała mi się najbardziej i dlaczego?”

W odpowiedzi należy uwzględnić tylko jedną książkę spośród wymienionych obok wydawnictw Biblioteki „Orła Białego”.

Odpowiedź wraz z uzasadnieniem (całość nieprzekraczająca 3 stron maszynopisu lub rękopisu, odpowiadającego im wielkością) należy nadsyłać na adres Redakcji „Orła Białego” (C. M. F. Polish Forces 62) z dopiskiem na kopercie „Konkurs — ankieta”.

Odpowiedź powinna być podpisana godłem, które umieścić również należy na zaklejonej kopercie, zawierającej imię, nazwisko i dokładny adres autora.

Termin nadsyłania odpowiedzi: 1 marzec 1946 r.

Jako wskaźnik przyjmuje się datę nadania odpowiedzi na polowej poczcie oddziałowej.

Redakcja „Orła Białego” wyznacza za najinteligentniejsze odpowiedzi trzy nagrody pieniężne w wysokości:

- I nagroda — 6.000 Lir.
- II „ — 4.000 Lir.
- III „ — 2.000 Lir.

oraz 10 nagród książkowych.

Redakcja „Orła Białego” zastrzega sobie prawo drukowania na łamach pisma ciekawszych odpowiedzi ankietowych, nawet nienagrodzonych.

Redakcja „Orła Białego” traktując ten konkurs również jako ankietę, mającą na celu zbadanie zainteresowań czytelników 2. Korpusu, ogłosił jej wynik w formie tabeli pod nazwą „10 ulubionych książek 2. Korpusu”.

W związku z tym Redakcja „Orła Białego” prosi Kolegów o jak najliczniejsze uczestnictwo w niniejszym konkursie.

Odpowiedzi nagrodzone pierwszymi trzema nagrodami będą drukowane na łamach „Orła Białego”.

Niezastosowanie się do jednego z warunków konkursu powoduje automatycznie wyłączenie odpowiedzi z konkursu i włączenie jej tylko do obliczeń ankietowych.

Do jury konkursu — ankiety „Orła Białego” zaproszeni zostali:

P.P. Szef Oddziału Kultury i Prasy, Kierownik Red. Czasopism i Wydawnictw Wojskowych, Naczelny Redaktor „Orła Białego”, Nacz. Redaktorka „Ochotniczki”, Melchior Wańkowicz, ppr. Bielatowicz, Pchor. Herling-Grudziński.

2. SPIS KSIĄŻEK

1. Geopolityka, strategia i granice — Ryszard Wraga.
2. Z doświadczeń przeszłości — Julian Łukasiewicz.
3. Rok 1863 — J. Piłsudski
4. Polskim szlakiem, część II. — J. Piłatowa.
5. Polskim szlakiem, część III. — J. Piłatowa.
6. Wrześniowym szlakiem — J. Łużyc.
7. Legnickie pole Z. Kossak-Szczucka.
8. W laboratorium radości życia — dr. W. Szyryński.
9. Azja i Afryka — J. Bielatowicz.
10. Album Monte Cassino — Z. Turkiewicz.
11. Wspomnienia Starobielskie — J. Czapski.
12. Przewodnik serdeczny — B. Kobrzyński.
13. Arykuły zebrane — A. Bocheński.
14. Wracające żagle — J. Wodow.
15. Prosta jak sosna wyrosnąć — J. Olechowski.
16. Polskim szlakiem, część I. — J. Piłatowa.
17. 150-lecie rzezi Pragi — M. Grydzowski.
18. O powołaniu naszego pokolenia — A. Brzoza.
19. Rozmowa z księżycem — J. Żywina.
20. Pamiętniki Murawiewa.
21. Wolność tragiczna — K. Wierzyński.
22. Nurt. — W. Berent.
23. Cele wojenne Polski — A. Prągier.
24. Dzieje rodziny Korzeniowskich — M. Wańkowicz.
25. O rewolucji — R. Wraga.
26. Wojna rosyjsko-niemiecka — R. Wraga.
27. Tajfun — J. Conrad.
28. Czterwone diabły — M. Święcicki.
29. Polska a kapitalistyczna interwencja w stosunku do ZSRR. — B. Audreus.
30. Kraj bez Quislinga — S. T. Norwid.

31. W cieniu zapomnianej olszyny — J. Kaden-Bandrowski.
32. Żywi i umarli — G. Herling-Grudziński.
33. Kamienie na szaniec — J. Górecki.
34. Ludzie sponiewierani — H. Naglerowa.
35. Opowieści o Szwajtku — W. Solski.
36. Smoza 13. — S. Zahorska.
37. Wrażenia więzienne — G. Daniłowski.
38. Smuga cienia — J. Conrad.
39. Wyrabany chodnik — G. Morcinek.
40. Henryk Dąbrowski — M. Grydzowski.
41. Quo vadis — H. Sienkiewicz.
42. Erca na podwórzu — J. Wiktor.
43. Od Ostrzej Bramy do 8-mej Armii — T. Zajackowski.
44. Polska w kulturze powszechnej
45. Duma o hetmanie — St. Zeromski.
46. Srogi pies i sentymentalny zajac — J. Wiktor.
47. Bija w tarabany — M. Pawlikowski.
48. Za siedmioma rzekami była Bologia — M. Święcicki.
49. Powieści chińskie — W. Sieroszewski.
50. Życie i śmierć ghoła warszawskiego — J. Lubar.
51. Ustrój sowiecki — R. Wraga.
52. Pan Tadeusz — A. Mickiewicz.
53. Ziemia-wilczyca — K. Wierzyński.
54. Gody życia — A. Dygasiński.
55. Nasze granice w Monte Cassino — J. Bielatowicz.
56. Młodość, miłość, awantura — P. Choynowski.
57. Wspomnienia ze szlaku żołnierza-tulacza — H. Piątkowski.
58. Filozofia romantyzmu polskiego — S. Brzozowski.
59. Za winy niepopelnione — I. Wasilewska.
60. Bolszewizm i religia — W. Karunia.
61. Sprawiedliwość sowiecka — Móra i Zwierniak.

DOM WYPOCZYNKOWY W ALPACH

Amerykańska Służba Pomocy Katolickiej Polakom (WRS — N.C.W.C.) zawiadoma, że z dniem 7 grudnia 1945 wiadoma została na sezon zimowy, w zarządzie WRS, w najpiękniejszym Ośrodku Zimowym w Alpach, — Cortina Zimowym — 1.) Dom Wypoczynkowy dla ochotniczek PSK i siostr PCK, kowy dla ochotniczek PSK i siostr PCK, 2.) Dom wypoczynkowy dla małżeństw wojskowych z przewidzianymi miejscami dla samotnych panów (wojskowych). — dla samotnych panów (wojskowych). — Urządzone komfortowo, centralne ogrzewanie, gorąca woda, piękne położenie.

Opłaty dzienne: ochotniczki i szeregownicy do st. sierż. włącznie — 10 lir. Oficerowie PSK, siostry PCK, oficerowie i chor. — 40 lir. Pracownicy Instytucji Społecznych — 85 lir.

Miejsca przydzielane są w/g rozdzielni-ka Dobrobytu Żołnierza 2. Korpusu. Zapraszamy wszystkich na narty, łyżwy, saneczki, — w śniegu i słońcu Alp!



(Rys. Krystyna Domańska)

PAN FRANIO

Nazwisko jest może zmyślone, ale postać prawdziwa, jak prawdziwe są wszystkie, najbardziej fantastyczne okazy ludzkie w naszej wędrowniej gromadzie.

Więc powiedzmy, że nazywa się Frankiewicz. Starszy strzelec Frankiewicz Eustachy. Właściwie najstarszy spośród starszych strzelców 2. Korpusu, bo rozpoczął już dawno szósty krzyżak pracowitego żywota. Innych krzyżyków nie posiada. Ale trzeba też przyznać, że „pan Franio” nigdy w najfastychniejszych snach nie marzył o karierze wojskowej. Byłby przysiągł, że do końca dni swoich będzie mieszkał z rodziną „u Lwówi”. „na Bajkach” i za żadne pierniki nie opuści swego warsztatu.

Z panem „Franiem” zetknęliśmy się na tle pracy zawodowej w tragicznych dniach wrześniejących, pierwszego roku wojny. Już przeszło sześć lat wędrujemy razem. Przemierzaliśmy łąki, góry i morza, deptaliśmy drogi aż nazbyt wyboiste dla naszych starych, utrudzonych nóg. Powtarzaliśmy sobie generalski slogan, że... „może nie wszyscy, ale — dojdziemy!” i wierzyliśmy, że kto jak kto, ale my obaj — dojdziemy na pewno...

I raczej mnie chwilami „brakowało prochu”, wyczerpywała się cierpliwość i horyzont zasłaniały mi ciężkie chmury pesymizmu. Bo pan Franio ani na chwilę nie poddał się zwątpieniu. Patrząc zawsze z podziwem na tę suchą, kościstą sylwetkę, na pomarszczoną aktorską gębę o gęstej szpakowatej czuprynie i siwych kpiarskich oczkach. Drgały w nich te same złote iskierki słoneczne, którymi lwowska wiosna prosiły kasztany w parku Kilimskiego i akacje na wałach Hetmańskich.

Pół wieku bez mata te oczy wchłaniały pogodę kochanego miasta i zostawała w nich ta pogoda na wieczne czasy, pomimo wszystko i — na przekór wszystkiemu.

I za to kochaliśmy pana Frania w naszej gromadzie, że był symbolem, kwintesencją, paniątką, że był... samym Lwówem, z jego nieśmiałością obywatelską i hatarskim humorem.

Pan Franio miałby zapewne niejedną motyw do ciężkiej gryzoty. Zostawił

przecież w rodzinnym mieście nie tylko warsztat swej pracy, gromadę serdecznych przyjaciół, cenny bagaż tradycji i w krew wsiąkniętych nawyków. Zostawił w domu żonę, wierną towarzyszkę, życia i czteroletnią córeczkę Basię. Późno spłynęło błogosławieństwo Boże na stado państwa Frankiewiczów, ale za to dziecko udało się... ta co tu bałakać? — lalka!

— Ta sam się dziwui, skąd do mnie taki skrząc — mawiał pan Franio, prezentując nam we Lwowie swoją jedy-naczkę.

A duma ojcowska, jak kwarcowa lampka opromieniała i rumieniła suchą gębę pana Frania.

Ile troski, ile tęsknoty nagromadziło się w jego sercu przez lata rozłąki, o tym wie tylko sam pan Franio, bo nigdy na ten temat nie zdradził się słowem. A kiedy ktoś niedyskretnie poruszył tę sprawę w rozmowie, słyszał zawsze tę samą odpowiedź:

— Tę Pan Bóg nie opuści. Moja Anieli to „szac-kubita”, da sy radę...

Na każdą niepomysłną sytuację, na każdy mankament w zakwaterowaniu, czy zaopatrzeniu pan Franio miał zawsze w zanadrzu jakiś dowcip, jakieś powiedzonko, które w mig rozładowywało ciężką atmosferę w naszej gromadzie.

W pustyni irackiej, kiedy potworny kilkudniowy hamsin walił z nóg najodporniejszych, pan Franio, szyjąc coś w kacie rozprążonego namiotu, zaczął nagle nucić: „Nad pustynią wiei wia-ter...”

W ciężkich chwilach walk pod Monte Cassino, Venafro, pod Aqua Fondata, kiedy codzien o świcie wyruszało się wozami z mp. w stronę frontu, pan Franio zawsze pierwszy był na placu zwiórek. Nie, żeby rwał się do bliższej znajomości z miną, pociskiem lub bombą lotniczą, ale... „jak trzeba, to si musi, nie?”

Wcalej czołwice teatralnej, gdzie ma przydział pan Franio, panował zapewne ten sam ofiarny punkt widzenia na niebezpieczeństwo, niemniej jednak przy każdym wyjeździe do frontowych od-

działów, „lekka cykorja” malowała się zwykle na twarzach aktorów, a zwiastowała aktorek.

Wystarczyło wtedy jakieś słówko pana Frania, żeby nastrój podniósł się o kilkanaście stopni.

— Wsiadać panowie i panie Jedziemy bać się! — Albo: Panowie aktorzy, radzę dziś dobrze grać, bo podobno Niemcy robią dobre miny do złej gry. A ja nie amator takich rozrywek minowych!...

W wolnych chwilach ucinaliśmy z panem Franiem rozmówki o sytuacji politycznej, ale choć uważał mnie za autorytet w tych sprawach, nigdy nie dał wytrącić z optymizmu.

— Ta, pani dyrektorzy, jak my to wszystko wytrzymali, co wytrzymali, to już nam żadna jedna sytuacja nie da rady! Na mój rozum — wszystko jednego dnia na dobre si obróci i jeszcze my obaj cwaj nieraz „damy sy na piec” u Szkowrona albo u Atlasa u Lwówi!

To „danie sy na piec” jest w ustach pana Frania raczej zwrotem retorycznym, bo w zasadzie mój przyjaciel nie jest trunkowy, a i innych nałogów zgoda nie posiada.

Prócz jednego..., o którym wiedzą tylko wtajemniczeni. Oto od wyjazdu z Rosji pan Franio w każdym większym mieście — w Teheranie, Bagdadzie, Jerozolimie, Kairze, Aleksandrii, ba, jeszcze w Rzymie, we Florencji — za wszystkie swe skromne oszczędności kupował prezenty dla Basi. Dobre praktyczne prezenty: buciezki, pończoszki, sukienki, rękawiczki... W najgorszych warunkach podróży przepała oszczędnie taszczył i chronił pękata walizę, pełną tych wspaniałych prezentów.

— Si wi, panie dyrektorze... Przecie nie pasuji, żeby ojciec wracał do domu z pustymi rękami... Ta coś si chyba dziecku gibiruji, nie?

Tak, pan Franio myślał o wszystkim — o jednym tylko zapomniał, że Basia już przeszło sześć lat czeka na tatusia i miała czas wyrosnąć z wymiarów tych szatek, które tatuś dla niej gromadził.

Ale pan Franio nosi w myślach i w sercu taką Basię, jaką zostawił we Lwowie sześć lat temu. Pan Franio nie zadaje sobie sprawy ze zmian, jakie zaszły w tym czasie, bo dla niego nie się zmienić nie mogło i nie powinno.

Dla pana Frania Lwów jest nadal tym samym beztroskim, pięknym miastem polskim, a Basia wciąż tym samym uroczym bobaskiem.

I pan Franio wierzy w swym pocziwym sercu, że pewnego dnia zastanie w domu wszystko w tym stanie, w jakim, odchodząc, zostawił...

Nie wiem kto rozwiął złudzenia pana Frania. Musiał to być człowiek bez serca, pryncypalny pozytywista i obrzydliwy skrupulant. Zobaczył przypadkiem walizę z prezentami dla Basi, usmiechnął się zjadliwie i głosem, trzęwiącym jak amoniak, obudził ze snu pana Frania:

— Panie Franiu! Ta stuknij się pan w głowę! Ta pańska Basia ma już jedenaście lat! A zanim pan ją zobaczy, to już może i ślubna sukienka przedzi się przyda... Te zaś fatałaszkii już chyba wnuczce pan podaruje!...

Niedawno temu znów spotkałem pana Frania. Bardzo się postarał. Ale pogodny jest po dawnemu.

— Jak tam, panie Franiu, trzymamy się?

— Musowo, pani dyrektorzy! Grunt, żeby si nie dać!

— Robi pan w Rzymie zakupy? Pewnie nowe prezenty dla Basi?

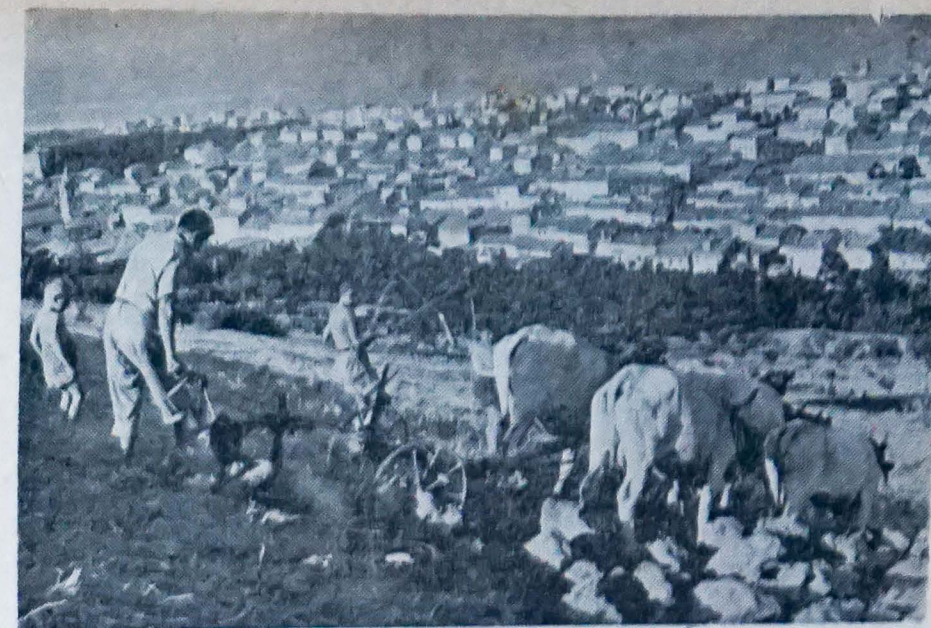
Pan Franio zmieszał się nieco:

— Ta teraz już chyba lepiej będzie zbierać dla niej na posag. Takim prawem — zamiast kupować szmatki składam na księżeczkę do „szparkasy”... No... ale ja si śpieszy, to już żegnam pana. Całuj rączki!...

Nie zdążyłem go zapytać, co zrobił z prezentami w walizie.

Ale podobno w Fermo wspominają pewnego poczciwego Polacco, który niejedno bosc i obdarte bambino ubrał od stóp do głów i jeszcze dodał parę lirów na cukierki...

Konrad Tom



(Fot. K. Hrynkiwicz)

Ogólny widok na Porto S. Giorgio

DOBIJAMY DO PORTU SAN GIORGIO

Nauka ma zacząć się za parę dni. Tymczasem przyglądamy się sobie nawzajem i przypominamy dawno wywie-trzałe z głowy mądrości. Wakacje trwały tym razem bardzo długo. Prawie całe życie... Jakże dziwne jest podpisywać nowiuteńkie zeszyty: „uczennica klasy II liceum”.

Najłatwiej jest wrócić do pensjonarskiego sposobu bycia. Po jesiennym szleszczącym resztką pogody parku, który otacza nasz internat, chodzą dziewczęta grupkami, objawiając się w pół, nawiązują się nowe, łatwe przyjaźnie. Wieczorem, długo to po przepisowym zgazzeniu światła, ciągną się szepty i zwierzenia.

Dziwnym kołem życie wróciło nas do szkoły.

Nie wrzesień to już z przed pięciu lat — który klasy szkolne zamiast sztu-backim, powakacyjnym gwarem napełnił jękiem rannych i surową grozą kłęski. I nie letnie — nadmorskie, czy wiejskie wspomnienia wyszeptują sobie pensjonarki do poduszki.

W pokoju mieszka nas siedem i każda inną przybyła tu drogą. Jadzia i Krystyna przeszły Rosję. Las jest dla nich potworny, parujący wilgocią, z którego ciemnego gąszczy wyciągały obumarte drzewa. Całodzienny trud przemieniał się wieczorem w gliński kawałek chleba niezdolny zaspokoić kurczów głodnego żołądka. Jadzia w tym kraju i w tym lesie zostawiła matkę.

— Ja mogłam jeść różne zielska — mówi — mama nie. Potem było już za późno.

Milkniemy wszystkie. Cień tamtych dni, choć już tak dalekich, przejmując nas grozą. Ale od czego młodość — cudowna giętka sprężyna w sercu, która z największego ucisku pozwalała mu się odgiąć śmiechem. I już za chwilę Jadzia z Krystyną błaznują, opowiadając nam, jak sprzedawały rosyjskim „grażdan-kom” koszule nocne na suknie balowe.

Maryla jest dziewczyną „z lasu”. Wieczorem, gdy chodzimy po parku, skrada się mimowoli tak, by nie skrzypp-

nęła ani gałązka. I — „ach, co za świetna polana zrutowa!” — krzyczy, na widok porosłej trawą łąki, strzeżonej żółtknącymi krzewami. Maryla inny las wspomina, niż tamte. Jej las ma urok noenych marszów, wart trzymany na równi z chłopcami, życia leśnych zwierząt — tropionych, osaczanych, ale po stokroć umiejących wyostać się z matni. Setny i pierwszy raz już się nie udało.

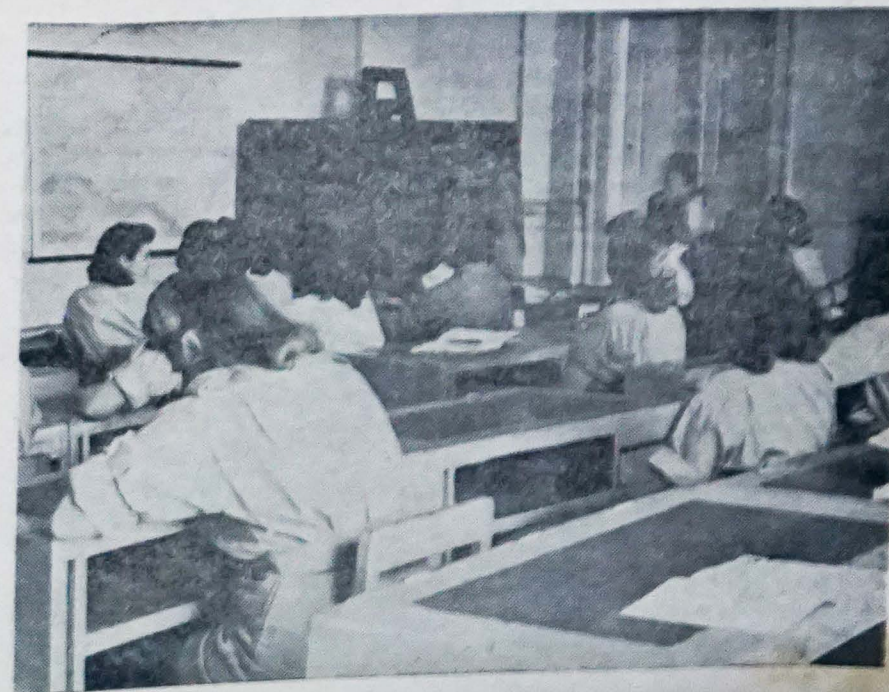
Niewola. Jałowy, gorzki okres. Nie lubi go wspominać także Małgosia która z samego dna walizki wyciąga wymięta, wybrudzoną, biało-czerwoną opaskę. Opaska ta dzieli życie Małgosi na dwie części — pierwsze emocje konspiracji przed Powstaniem — i po powstaniu, niechętnie wspomniane dzieje. Wszystkie chcemy dotknąć tej opaski.

— Pamiętasz, Mańciu — mówię — czytałyśmy przeszło rok temu skrawek nie-

mieckiej gazety, jak to „polscy bandyci z opaskami Landarmee wzniesli bunt na ulicach Warszawy”? To właśnie takie opaski...

Ja z Mańcią jesteśmy najstarszymi „kryminalistkami” spod okupacji niemieckiej. Echa Powstania z trudem przenikały do nas przez kolczaste zasieki koncentracyjnego obozu. Wtedy, w sierpniu, wyluskana z pomiędzy obelżywych słów niemieckiego komunikatu, pierwsza wiadomość — wstrząsnęła nami do głębi.

Mańcia na Pawiaku była dwumetrowej prawie długości piętnastoletnim dzieckiem, nad którym rozczulały się osiemnastoletnie starsze osoby. I tak już zostało. Wbrew swoim potężnym rozmiarom, Mańcia jest dla mnie do dziś biednym, niezgrabnym niedźwiadkiem, który koniecznie wymaga, by się nad nim po-żalić. Całe pięć lat Mańcia płakała ze



(Fot. Michałski)

W San Giorgio: lekcja chemii



Gen. Anders wśród dzieci w Barlecie

strachu, że ją rozstrzelają (jak to zrobili z jej rodzicami i braćmi).

Dzisiaj widzę, że Mancia znów się maże w kąciku.

— Co się stało? — pytam z niepoko- jem dorosłej opiekunki.

— Bo ja już nie nie pamiętam... i nie zdam na pewno...

Dość prędko Mańcia znalazła sobie no- wy, wielki powód do zmartwienia. Nie wypada mi się przyznawać przed nią, że

NA TERENIE BAZY

Nie w mieście, czy w jakimś osiedlu, nie w żadnych blokach, ale po prostu w polu, pod namiotami, szeroko rozsiadła się 7. D. P., a z nią razem — nieodstępny pluton P.S.K.

— A cóż wy tu robicie?

— Jakto, co? wszystko! Jesteśmy świetliczkami, kantyniarkami poszczegól- nych oddziałów, pracujemy zarówno w kuchniach jak i w kancelariach, czte- ry z nas są telefonistkami.

Przez czas rozinowy nadeszła oczeki- wana przeze mnie Komendantka plutonu i razem chodzimy od namiotu do nami- otu, omijając gdzie się da, niewygodne i tłuczonego szkła usypane ścieżki.

— Ma pani szczęście, że od paru dni

deszcz nie pada — uśmiecha się Komen- dantka. — Cały ratunek wtedy, to te ścieżki i świeżo do namiotów powprawia- ne drewniane drzwi.

— Jak tam — nie zacieka wam już? — pyta mieszkanek czystutkiego, gustow- ie przybranego namiotu.

— Ale gdzie! jak nam płachty prz- rzucili, to cieszyliśmy się, że będzie su- cho, ale jak tylko deszcz popadał, to za- raz znów musiałyśmy podróżować z miej- sca na miejsce z łózkami. Stare to wszystko, wysłużone.

— A jak piecyk? Nie dymi?

— Dymi, ale dobrze, że jest, byle by było czym w nim palić.

i ja mam tremę. Ile to lat minęło nad zamkniętym w szufladzie Horacym!

Jeszcze w kieleckim więzieniu miałam lekturę. Przemycono mi „z wolności” Nowy Testament — z tejez mojej szkol- nej szuflady. Skarb nie tylko dlatego, że pomiędzy kartkami popisywała kochana ręka pierwsze bezradne czułości — pierwszy znak życia z domu. Ta mała, czerwono oprawna księżeczka zastępowała mi świat, niedostępnie niebieski z tamtej strony zardzewiałych krat.

Zabrali mi ją pierwszego dnia w Ra- vensbrueck.

I tak ziarno, rzucone na glebę zdepta- ny drewniane chodaki ciągnących do pra- cy kolumn, zasypał ciężki, wydzierany z wnętrza góry, piach, przywaliły tysiące szorstkich cegieł, bez litości rzuconych okrwawionym dłońmi.

Ciężko będzie dokopać się ich na no- wo...

Dalekimi szlakami przybyliśmy do por- tu San Giorgio. Ale otworzywszy już pierwszą stronę „Literatury Polskiej”, przekonywujemy się, że nie jest daleko, że bliżej jest, niżby się zdawało, od „Bogurodzicy” — do białoczerwonej opaski Małgośi...

Zofia Górską

jak na tę porę roku, trochę surowe wa- runki mieszkaniowe.

17 komp. ma swój specjalny, przeję- ściowy charakter. Należą do niej te ochotniczki, które czekają na przydział. Z reguły nie pozostają one tu dłużej jak parę tygodni. Tajemnicą jest dla mnie, jak w tych warunkach (przejściowych) Komendantka potrafiła wytworzyć tak miłą, serdeczną nastrój. Wszystkimi ochotniczkom mówi ona „ty” i każda wie, że forma ta pochodzi nie z czego innego, jak z prawdziwie szczerego serca.

Trafiłam tu właśnie na moment przy- strajania jadalni i choinki na Święta.

— Szkoda — mówią mi dziewczęta — że pani nie przyjechała wcześniej. Zobaczyłaby pani, jakie ładne paczki ze słodyczami i zabawkami posłałyśmy dzieciom w Barlecie.

Oj, te dzieci! Są one tu oczkiem w głowie wszystkich. Nawet byli jeńcy w angielskim obozie S. robili dla nich za- bawki na Święta. A tym b. jeńcom za słodko nie jest. Brak im tyłu, tyłu rze- czy codziennego użytku!

Gdy po włóczędztwie po okolicy wracam do Mottoli, gdzie sobie m. p. na ten czas obrałam, koleżanka Marysia ci gnę mnie do siebie.

— Chodź, zobaczysz, ile uzbierałyśmy dla naszych z obozu S.

Rzeczywiście, jest tu ponad 850 pa- pierosów, jakieś koszułki, pełno przybo- rów do mycia i golenia, pasty do butów i t.d. Ładna pozycja do składki, orga- nizowanej na całym terenie Bazy.

Koleżanka Marysia pracuje jako ma- szynistka w Referacie Kultury i Prasy, który mi tak po koleżeńsku pomógł tu w pracy. Marysia mieszka wraz z innymi ochotniczkami, które pracują w Referacie P.S.K. i w różnych biurach wojskowych Bazy. Ciepło tu, pokój zdobną serwetki, makatki i kwiaty.

Nie zdolały się jeszcze tak urządzić później znacznie przybyłe koleżanki z n-tej komp. Łęcznieści. Znam je wszystkie jeśli nie z okresu niewoli jeszcze, to przynajmniej z obozu w M. Teraz, stu- chając ich, brzmi czegoś dla mnie jak chińszczyzna, technicznego języka, sze- roko otwieram oczy. Przeszły tu one kursy łączności i praktykują na radiostacji, przy szyfrach, w centrali telefonicznej.

Chodzę z nimi wieczorami do YMC-i, lub na spacer (świetlica jest czynna tyl- ko w cieplej porze), gadamy, wspomi- namy dawne dzieje i nadzieje, a one mi stale znowu o różnych „kuk'ach”, czy „imi” i nieznanym mi aparatach. To je interesuje, tym żyję.

Na inny sposób, ale też tylko swoją pracą żyje grupa ochotniczek w pobliz- kiej P. Pracują tam one w Składnicy Gł. Kantyn Pol. Bazy. Pracują fizycznie przy wydawaniu NAAFI i przydziałów, pracują w biurze. Nieraz, gdy trzeba je- chać po towar, wypadnie wstać bardzo wcześnie, nieraz, jak właśnie przed Świętami, ruch jest większy, więc prze- pada i przerwa obiadowa lub odpoczynek niedzielny. — Trudno — powiadają — robota musi być zrobiona.

Inny zupełnie charakter ma pluton P.S.K. w Bari. Bari to spore, ładne mia- sto, posiadające teatr, kina. Tu wychodzi „Gazeta Żołnierza”, tu działa Sekcja Wydawnicza, tu znajduje się Dom Książki Polskiej.



(Fot. J. Skonieczny)

Namiot z drzwiami — to prawie dom

Wszystkie te instytucje zatrudniają ochotniczki P.S.K. jako siły biurowe, zwłaszcza maszynistki, które całymi dnia- mi zapamiętałe stukają pod dyktando na maszynie, i jako sprzedawczynie w Do- mu Książki Polskiej.

I one tej pracy mają, a mają. Star- czyłoby jej na dwa razy większy zespół. Okazuje się jednak, że mimo to i poza biurem coś robić można. Oto koleżanka R., wykorzystując swe wrodzone zdol- ności, z małych fotografii odręcznie, piórkiem lub pastelami robi duże po- większenia bardzo udatnie. Oto znów inna ochotniczka wyuczyła się o własnych siłach angielskiego tak dobrze, że idzie na kurs nauczycielek do Altamury, a może potem i na dłuższy kurs do Rzymu.

Ale najciekawszą pracę, najodpowie- dzialniejszą mają nasze kobiety w osie- dlach cywilnych, w Wydziale Kobiet. Ich to rzeczą jest być wszędzie, widzieć każde niedomaganie, każdy brak, aby w porozumieniu z władzami w miarę możliwości wszystkiemu zaradzić.

A jak miłe, serdeczne mają podejście! — Nadewszystko — mówią mi na po-

żegnanie — niech pani wszędzie odo- wiada i powtarza, jak wiele tu jest do- brych, kochanych kobiet. Jak, z nimi można dobrze żyć i pracować — byleby tylko chcieć!

Anna Karska

Znaczki Pocztowe 2. Korpusu

Poczty polowe sprzedają polskie znaczki pocztowe 2. Korpusu.

Komplet znaczków pocztowych obejmuje:

- 1.) Montecassino wartości 45 gr (8 lir.)
- 2.) Ancona „ 55 gr (10 lir.)
- 3.) Bolonia „ 1 zł. (17 lir.)
- 4.) Gen. Anders „ 2 zł. (35 lir.)
- 5.) Blok filatelistyczny z 4-ma znaczkami 8 (lirów 140)



Generałowa Andersowa przy stoisku z łalkami (Barletta)



(Fot. J. Skonieczny)

Przed własną „zagrodą”

KRONIKA

Życzenia Noworoczne dla Redakcji „Ochotniczki”

Do Redakcji „Ochotniczki”

Zbliżające się Święta Bożego Narodzenia i Nowego Roku to okres, w którym zawsze oglądamy się wstecz, by ocenić naszą pracę i wysiłki, by osądzić co w tej pracy było złe, a co dobre, by wreszcie ustalić sobie cele i linię postępowania na przyszłość. W takiej chwili my — dziewczęta z n-tej Kompanii Łączności chcemy podziękować przede wszystkim za piękną i mocną podstawę ideową naszego pisma. Swą odwagą i bezkompromisowością w ujmowaniu zagadnień walki o nasze polskie cele zdobyła sobie „Ochotniczka” zaufanie wszystkich kobiet-żołnierzy. Stała się ona nie tylko informatorem i wyrazicielem naszych poglądów, ale i przewodnikiem ideowym w naszej walce o prawdziwą wolność i niepodległość Polski. Pragniemy gorąco, by w nadchodzącym tak bardzo ciężkim okresie to przewodnictwo ideowe kontynuowała „Ochotniczka” tak pięknie jak dotychczas i to są nasze najlepsze życzenia świąteczne.

Ochotniczki Kompanii Łączności

Zakończenie kursu świetliczarek

W Obozie Przejściowym Kobiet w M. odbyło się w dniu 20.XII. ub. r. uroczyste zakończenie kursu dla 32 świetliczarek.

W ładnie udekorowanej świetlicy obozu zebrały się kursantki i licznie przybyli goście. Po powitaniu zebranych przez jedną ze świetliczarek, zabrał głos Szef Wydziału Oświaty, ppłk. A., który w krótkich słowach podkreślił ważność roli kobiety w wojsku i jej możliwość w osiągnięciach dobrego wpływu na żołnierzy. — Jeżeli chodzi o samą świet-

licę — mówił Szef Wydziału Oświaty — to powinna ona pod wieloma względami zastąpić żołnierzowi dom, a świetliczarka, która jest duszą świetlicy, niejednokrotnie — matką lub siostrą.

Po przemówieniu, kursantki na tle oświetlonej reflektorami mapy Polski wykonały melodeklamację i słuchowisko o wszystkich miastach polskich. Miła ta uroczystość zakończyła się wspólnym spożyciem żołnierskiej kolacji.

Po trzech tygodniach wykładów, pogadanek, zajęć praktycznych, śpiewów i nauki dekoracji i zdobnictwa, młode świetliczarki dostaną przydziały i pójdą na samodzielne stanowiska. Różnie będzie w tych świetlicach — w niektórych praca może być łatwa i miła, w innych trudne i może czasami nawet przykra, ale mamy nadzieję, że spełnia się życzenia pana pułkownika i żołnierze w świetlicy znajdą dom.

Odznaczenia w P.S.K.

Dnia 18. 12. ub. r. w M., generał Anders udekorował Brązowym Krzyżem ochotniczki: sierż. Niczyńska Maria, sierż. pchor. Pałka Jadwiga, sierż. Pogęńska Jadwiga, plut. Parylewicz Jadwiga, plut. Stefanowska Urszula, kpr. Gonczarczyk Irena, kpr. Jeleniewska Jadwiga, och. Lamrowa Seweryna.

Praca społeczna P.S.K. w Bazie

Oddziały PSK w rejonie Bazy 2. Korpusu wzięły udział w składce na rzecz b. jeńców polskich w angielskim obozie S pod Taranto, przeprowadzając zbiórki papierosów, mydła, przyborów do golenia, pasty do zębów i tp., bądź też przyłączając się do ogólnej zbiórki miejscowych garnizonów. Drugą imprezą było zebranie darów „gwiazdkowych” dla dzieci w osiedlu Barletta. Gwiazdkę tę w ramach inicjatywy 7DP organizował Pluton PSK przy 7DP.

Kursy dokształcające w Szpitalu Woj. Nr 5

W celu umożliwienia ochotniczkom P.S.K. dokształcania się w wiedzy ogólnej, zostały uruchomione Kursy Dokształcające w Szpitalu Woj. nr. 5: 1) w dniu 17.X.1945 kurs w zakresie szkoły powsz., 2) w dniu 3. 12. 1945 kurs w zakresie 1. kl. gimnazjalnej. Organizacja obu kursów i program nauczania oparte są na przepisach ustawy z dnia 11. 3. 1932 r. „O ustroju szkolnictwa” (Dz. U.R.P. nr. 38, par. 398). Na kurs szk. powsz. uczęszcza 80 ochotniczek, na kurs gimn. — 13 ochotniczek i siostr. Uczestniczki obu kursów wykazują wiele zapału do nauki w której poczyniły już znaczne postępy, pomimo, że nauka odbywa się w trudnych warunkach po całodziennej służbie, wieczorem. Grono nauczycielskie czyni wszelkie wysiłki, aby w wyznaczonym terminie osiągnąć takie wyniki nauczania, które pozwolą na przeprowadzenie egzaminu i uzyskanie świadectw. Oba kursy dokształcające pozostają pod specjalną opieką Komendanta Szpitala i Komendantki komp. P.S.K.

Kurs dla Sióstr Pogotowia Sanitarnego

Dnia 11-go grudnia rozpoczął się 2-gi Turnus Sióstr Pogotowia Sanitarnego P.C.K. zorganizowany przy Szpitalu Wojennym nr. 7. Po uroczystej Mszy św. odprawionej o godzinie 9-tej w kaplicy szpitalnej przez ks. kapelana. Inspektorka W.K.S.S. Zdr. Pani Zylińska w paru serdecznych słowach powitała kursantki, a Komendant Szpitala ppłk. dr. Funk — życzył im dobrych wyników pracy.

Kurs będzie trwał 4 1/2 miesiąca, a więc o miesiąc dłużej niż kurs poprzedni. Słuchaczek na kursie jest 46.

TREŚĆ NUMERU

- | | | |
|--|--|-------------------|
| 1. Rozkaz świąteczny
Gen. Władysława Andersa | 13. Księżyc nad Pawiakiem | Hal na Grodzicka |
| 2. Dzieje Kozimierz Sowiński | 14. * * * | Zofia Górka |
| 3. Mój świat Beata Obertyńska | 15. Mój Rzym | Gustaw Morcinek |
| 4. Nielatwa droga Zofia W. | 16. Niewinne wynalazki | Henryk Mojewski |
| 5. Protegowany antysemityzm | 17. Mimikra | W. Jegorow |
| 6. Modlitwa w lesie Helena Zelwerowicz-Orchołowa | 18. Zgon Miss E. Rathbone | M. Bohusz-Szyszko |
| 7. „Życie czy śmierć“ Jarosław Żaba | 19. Jan Matejko | On |
| 8. Zgoda J. E. | 20. Molier-Goldoni-Fredro | Paweł Jaruga |
| 9. List do redakcji Jan Bielatowicz | 21. Notatnik czasu burzy | Konrad Tom |
| 10. Kochaj samego siebie St. Chojnacki | 22. Pan Franio | |
| 11. Wojna zakończyła się głupio | 23. Dobijam
do Portu S. Giorgio | Zofia Górka |
| 12. Najście „Scytów“ Dorota Obuchowicz | 24. Na terenie Bazy | Anna Karska |
| | 25. Konkurs. Kronika | |

WŁOCHY, 1946 r.

„Ochotniczka” ukazuje się raz w miesiącu — Cena 20 lirów

Wydawca: Oddział Kultury i Prasy 2 Korpusu
Redaktorka Naczelna: dr Herminia Naglerowa
Adres redakcji i administracji: Polforces CMF 62

„Ochotniczkę” nabywać można w Referatach Kultury i Prasy 2. Korpusu, w Oddziałach P.S.K. w Kantynach polowych, oraz w Świetlicach